tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 38 (1393)
14-20.09.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Afera Zondacrypto
Czego boi się PiS?

Suplementy diety
Tabletki wysokiego ryzyka

Zbigniewa Waszkielewicza
teatr wśród mazurskich pagórków

Lipce Reymontowskie
Małgorzaty Ewy Czernik

PROF. PRZEMYSŁAW GRUDZIŃSKI

EUROPA W AMERYKAŃSKIEJ PUŁAPCE



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 38>
9 771509 311607

eprasa.pl 2564991eaf

InPost Paczkomat 24/7

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



Szczegóły: sklep.tygodnikprzeglad.pl.

eprasa.pl 25e4991eaf



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Dyzma z Wołomina nie był sam

Co jeszcze musi zrobić Piesiewicz, by go pognano z Polskiego Komitetu Olimpijskiego? Słyszę, że jego kadencja kończy się w kwietniu przyszłego roku i do tego czasu PKOl będzie kierowany przez któregoś z wiceprezesów. Niezborność władz komitetu i przedłużająca się niemoc decyzyjna pokazują, dlaczego kariera i wybór kogoś takiego jak Piesiewicz były w ogóle możliwe. Kto był trampoliną, która wywindowała go na fotel prezesa? Nikt nie chce się przyznać do roli ojca chrzestnego. Bo sytuacja mocno pachnie mafią. Czy w PKOl i związkach sportowych nie ma postaci równie podejrzanych? I równie dalekich od zasad, na których opiera się ruch olimpijski? W związkach sportowych zaczęli rządzić ludzie mający za cały program załatwianie kasy dla swojej dyscypliny. I na swoje, lepiej niż dobre, pensje. Sport i sportowcy zaczęli schodzić na dalszy plan. Stawali się tłem dla działaczy i sponsorów. I petentami pukającymi do drzwi prezesów.

Przecież nie tylko Piesiewicz handlował wizerunkiem medalistów. Bez ich wiedzy i zgody. Ciągle są prezesi związków sportowych, jak Andrzej Supron, których trudno przekonać do odwołania Piesiewicza. Jest tam spora grupa takich, którzy uważają, że najważniejsza jest kasa. Nieważne skąd. Byle jak największa. Często są to byli wybitni sportowcy. Niestety, medale nie zawsze idą w parze z umiejętnościami menedżerskimi i mądrym przywództwem. Bywa, że stają się tylko sławną wizytówką, za którą różni cwaniacy kręcą własne interesy.

Na największy w historii polskiego sportu kryzys wizerunkowy pracowało wielu działaczy. Choć Piesiewicz ciągle puka spod dna, to po dnie szoruje jeszcze kilku innych z 60-osobowego zarządu. Dyzma z Wołomina został wybrany na prezesa PKOl przez ludzi, którzy bez skrupułów wyeliminowali Andrzeja Kraśnickiego. Kompetentnego i uczciwego prezesa PKOl zastąpili sprytnym i pazernym hochsztaplerem.

Na dymisję Kraśnickiego naciskał prezydent Duda. A o awans Piesiewicza zabiegali jego współpracownicy. W tym ten, który lobbował za powołaniem Dudy do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Oczywiście jako reprezentanta Polski. Bo prezydent jeździ na nartach. Bez żenady głosili te głupoty w mediach. Dziś po tych miglancach nie ma śladu. Są za to ogromne szkody. Materialne i wizerunkowe. I potężny kryzys, który dotknął prawie wszystkie dyscypliny sportowe w Polsce. Widzieliśmy to w czasie igrzysk w Paryżu, gdzie nasi sportowcy wystąpili w strojach Adidasa, bo Piesiewicz wykolegował firmę 4F z Małopolski. Piszę o tym, bo sprzątanie po Piesiewiczu to dopiero początek. Jeśli w polskim sporcie ma być lepiej i uczciwiej, zmiany kadrowe muszą dotknąć wiele organizacji. Z tą największą, czyli PZPN, na czele.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 25e4991eaf

W NUMERZE

KRAJ

8 **Europa w amerykańskiej pułapce**
– rozmowa z Przemysławem Grudzińskim
12 **Prawica umoczona w aferę Zondacrypto**
Fajnie było brać pieniądze…
15 **Tabletki wielkiego ryzyka**
Ostrożnie z suplementami diety
18 **W obronie schabowego**
Wojna o szkolne jadłospisy
20 **Kupujemy święty spokój czy wiedzę?**
Korepetytorka to nie niańka
23 **Mysłowice – miasto zamachów**
Czy ktoś poluje na prezydentów?
41 **Gra o przyszłość harcerstwa**

ZAGRANICA

26 **Europa przestaje wierzyć w siebie**
Jaka przyszłość kontynentu
34 **Generał chce bronić demokracji**
Gadi Eisenkot kontra Netanjahu

OPINIE

30 **Maxim Rust**
Dwie Białorusie

KULTURA

38 **Na scenie wśród mazurskich pagórków**
– rozmowa ze Zbigniewem Waszkielewiczem
42 **Qulturalia**
60 **„Chłopi" malowani**
66 **„Summer Show" w Galerii Arttrakt**

PSYCHOLOGIA

44 **Psychiatrzy uważali, że jest lepiej**
– rozmowa z dr. Jackiem Dębcem

SPORT

48 **Zbrodnia czy wykroczenie?**
Afera trenera Siemieńca

NAUKA

50 **Beton, który pamięta Majów**

OBSERWACJE

54 **Miasto dla wybranych**
Gentryfikacja w Kopenhadze
56 **Grzybów było w bród**
Bogactwo Puszczy Augustowskiej

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Dyzma z Wołomina nie był sam
7 **Jerzy Bralczyk**
Powściągliwość
29 **Jan Widacki**
Literaci do pisania! Studenci do nauki! Syjoniści do Syjamu!
33 **Andrzej Romanowski**
Bronię Rosjan
37 **Stanisław Filipowicz**
Rzeczywistość i nierzeczywistość
43 **Roman Kurkiewicz**
Regeneracja: myślenie i strajk zmienią świat
47 **Tomasz Jastrun**
Rozgoryczenie
53 **Wojciech Kuczok**
Wy nie wiecie, a ja wiem...



20
KRAJ

KUPUJEMY ŚWIĘTY SPOKÓJ CZY WIEDZĘ?
Korepetytorka to nie niańka

50
NAUKA



BETON, KTÓRY PAMIĘTA MAJÓW
Technologia ukryta w dżungli



60
KULTURA

„CHŁOPI" MALOWANI
Dzieje się w Lipcach Reymontowskich!

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 25e4991eaf

Nowe szaty fejków

Jestem zdania, że fake newsy są także źródłem przyjemności dla odbiorcy. Wiele lat temu było nim „odkrycie" tzw. zimnej fuzji. Temat rozgrzał do czerwoności nie tylko środowisko fizyków. „Odkrycie" pokazywało, że możemy doprowadzić do fuzji atomów deuteru w banalny sposób, uzyskując tym samym niewyczerpane źródło energii. Zadna konferencja fizyków w tym czasie nie mogła się obyć bez poruszenia tej kwestii. W Instytucie Fizyki Jądrowej w Krakowie szybko zabraliśmy się za nią, ale od innej strony, i już wstępne dane pokazały, że nie ma takiego zjawiska. Na jednej z konferencji po entuzjastycznym referacie przedmówczyni przedstawiłem wstępne dane i konkludowałem, że detektory nie potwierdzają tego zjawiska. Sala zamarła, wszyscy rozeszli się ze spuszczonymi głowami, nikt nie podjął tematu, a ja czułem za plecami ostracyzm. W luźnej atmosferze bankietu jeden z kolegów wyrzucił mi potem: „Dlaczego to zreferowałeś? Było przecież tak przyjemnie". I wtedy zrozumiałem, że przyjmowanie nawet bzdurnych informacji też jest źródłem przyjemności. Zamyka ona nas w kokonie i pozwala się cieszyć samozadowoleniem. Kto zrezygnuje z takiej przyjemności? Nigdy nie zasypiemy oceanu fake newsów piaskiem rzetelności i prawdy.



Antidotum na fake newsy nie jest rzetelna weryfikacja. Żadna weryfikacja takiego newsa nie jest praktycznie możliwa dla laika, a nawet i specjalisty. Sięganie do źródeł, nawet do poważnych periodyków, niewiele da, bo i tam pojawiają się fake newsy. W przypadku owej „zimnej fuzji" potrzebowaliśmy około dwóch miesięcy pracy, specjalistycznej aparatury, ale i wiedzy kolegów. Kto ma na to czas i chęć? Do tego potrzebne są i środki. I tylko po to, aby wyjść z kokonu ignorancji i samozadowolenia.

Jerzy Dryzek

Odradza się kult Rydza-Śmigłego

Kult Rydza-Śmigłego nie jest zjawiskiem nowym, za czasów PRL na jego grobie były zawsze świeże kwiaty. Z czego ten kult wynika? Chyba z tęsknoty za prawdziwymi wartościami w polityce. Pytanie, czy obecna polska scena polityczna wytrzymuje porównanie z generacją polityków przedwojennych, jest retoryczne. Stosunek każdego z nas do Józefa Becka, Rydza-Śmigłego czy prezydenta Mościckiego to miara szacunku dla takich wartości jak honor, bezinteresowność czy praca całym sobą dla państwa. Przed wojną zabrakło nam dramatycznie kilku lat oraz zasobów, nie zabrakło honoru i odwagi. Obecne czasy to 30 tłustych lat, ale czy wykorzystanych? Odpowiedź jest na miarę historii.



Maciej Matuszyk

•

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuły o Edwardzie Śmigłym-Rydzu. Proponuję, aby powracać na łamach „Przeglądu" do tej postaci historycznej, w ostatnich latach życia tragicznej i tajemniczej. Nasze społeczeństwo jest ubożuchne w wiedzę historyczną i kupuje wiele jej wersji polityczno-propagandowych, nachalnie narzucanych przez osoby o określonej proweniencji politycznej, bezczelnie przy tym manipulujące faktami. Kolejne więc artykuły obiektywnie przedstawiające postać marszałka Śmigłego-Rydza powinny opisywać go takim, jakim faktycznie był do roku 1939, oraz jakim chciał się stać w latach 1940-1941. To tematy niezwykle ciekawe i na pewno spotkają się z zainteresowaniem nie tylko stałych czytelników. Kiedy kupowałem w kiosku numer ze Śmigłym, zaglądający mi przez ramię młody człowiek też poprosił o „Przegląd", gdyż zaciekawił go temat okładkowy.

Kazimierz Rygiel

ZDJĘCIE TYGODNIA



Przed świętem Rosz ha-Szana, żydowskim Nowym Rokiem, ze Ściany Płaczu usuwane są karteczki z wiadomościami do Boga. Jerozolima, 6 września 2026 r.

FOT. RONEN ZVULUN / REUTERS / FORUM

eprasa.pl 25e4991eaf

16,4 mld zł wynosi dług alimentacyjny w Polsce, średnie zadłużenie to ok. 60 tys. zł. W rejestrach figuruje prawie **290 tys. osób niepłacących alimentów.**

•

AfD wygrała wybory w landzie Saksonia-Anhalt, uzyskując poparcie 43,8% wyborców.

•

Jesienią 2025 r. na rachunek Fundacji Instytut Polski Suwerennej (Zbigniewa Ziobry) wpłynęła darowizna w wysokości 450 tys. zł z kancelarii prawnej Przemysława Krala.

•

Na 14 lat więzienia został skazany Jacek K., proboszcz parafii w Mostku, któremu udowodniono czyny pedofilskie wobec dzieci w latach 2008-2024.

•

Michał Sopiński z powodu naruszania prawa został odwołany z funkcji rektora komendanta Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Sopiński był kuriozalnym rektorem, nominatem Ziobry, nieustannie ośmieszającym więziennictwo i szkolnictwo.

•

Między 1 kwietnia a 1 września **utonęło w Polsce 200 osób**. 90% to mężczyźni.

•

Z jesiennej ramówki Polsatu zniknęły dwa popularne programy o tematyce społeczno-interwencyjnej: **„Państwo w państwie"** Przemysława Talkowskiego i **„Interwencje"**. Stacja nie ujawniła powodów zrezygnowania z nich.

•

Bank Centralny Holandii zaczął przenosić swoje rezerwy złota z USA i Kanady do Londynu.

•

Myśliwych jest w Polsce ok. **130 tys.** W ciągu roku zabijają ok. 800 tys. zwierząt.

PRZEBŁYSKI



Szczekająca minister Morawieckiego

Dała głos Dominika Chorosińska, posłanka PiS. I minister kultury w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego. Znana z bujnego życia towarzyskiego nie została twarzą katolickiej kampanii „Wierność jest sexy". Ani pisowskiego hasła „Rodzina sercem Europy". Co biduli zostało? Żucie gumy i szczekanie w czasie obrad sejmowych. Zabrakło tylko kagańca. I alkomatu. Według rzecznika dyscypliny w klubie PiS Chorosińska nie popełniła jakiegoś poważnego występku. Mamy więc nowy znak firmowy PiS. Hau, hau!

Pielgrzymka pokornych kobiet

Wszystko może się nad Wisłą zmienić, ale nie stosunek biskupów do kobiet. Może to skutek wpływów w Kościele lawendowej mafii? Dla nich kobiety zawsze były niższym gatunkiem. Mają słuchać. I służyć. Czy po taką lekcję szła do Piekar Śląskich pielgrzymka kobiet i dziewcząt? W Sanktuarium Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej wysłuchały abp. Andrzeja Przybylskiego. Minął miesiąc, a niektóre jeszcze nie doszły do siebie po tym, co usłyszały od arcybiskupa: „Świat potrzebuje mądrze pokornych kobiet", które są „świadome swojej służebnej roli". Hierarchę martwi, że kobiety, walcząc o swoje prawa, mogą dojść do przekonania o własnej samowystarczalności i całkowitej niezależności. Przetłumaczone na polski znaczy: nieście z pokorą swój los. Amen.



PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy są narodem politycznie łatwowiernym?

PROF. MARTA ŻERKOWSKA-BALAS,
socjolożka, politolożka, Uniwersytet SWPS

Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Z jednej strony, wyróżnia nas historyczna nieufność do polityków, mediów i państwa. Z drugiej – jesteśmy podatni na manipulację opartą na emocjach. W praktyce odrzucamy oficjalne komunikaty, szukając w nich drugiego dna. Ten deficyt zaufania tworzy próżnię informacyjną, którą łatwo wypełniają narracje populistyczne, teorie spiskowe oraz dezinformacja – zwłaszcza jeśli wzbudzają poczucie zagrożenia czy strach. Silna polaryzacja potęguje to zjawisko, bo uruchamia mechanizmy grupowe. W efekcie stajemy się wręcz cyniczni wobec wrogów politycznych, jednocześnie bezkrytycznie ufamy własnej bańce, nawet jeśli składa nierealistyczne obietnice. O tym, czy uznamy informację za wiarygodną, decyduje nie treść, ale nadawca. Wierzymy nie temu, kto ma rację, ale temu, kto stoi po naszej stronie.

PROF. LECH SZCZEGÓŁA,
socjolog, politolog, Uniwersytet Zielonogórski

Nie wiem, czy określenie łatwowierność jest dobrym sformułowaniem problemu. Jej przejawy stanowią tylko pewien jego komponent, a równie istotne są zjawiska politycznego cynizmu, fanatyzmu, dezorientacji, podsycanej przez media frustracji oraz nieustannej nadziei na mądre, uczciwe i responsywne państwo. Te formy odnoszenia się do polityki stają się na niemal całym Zachodzie powszechne. Polskę wyróżnia jedynie to, że zasięgi tej naiwności wydają się lustrzanym odbiciem niskich kompetencji naszej klasy politycznej. To ona najlepiej opanowała techniki manipulacji nastrojami społecznymi. Sens demokracji i bycia obywatelem polega na tym, że komuś trzeba zaufać i zawierzyć. Pole racjonalności tej decyzji niestety coraz bardziej się kurczy.

MATEUSZ CHOLEWA,
zastępca redaktora naczelnego w Stowarzyszeniu Demagog

W naszym kraju mamy kilka grup potencjalnych wyborców. Są wśród nich osoby, które przyjmą każde hasło, jeśli tylko wypowie je polityk z ugrupowania, które jest bliskie ich poglądom. W lutym br. Daniel Obajtek w wywiadzie dla Zero.pl stwierdził, że „będąc w opozycji, można dużo gadać, i to gadać bez pokrycia", co tylko potwierdza fakt, że część elektoratu przyjmie każdą propozycję za pewnik. Jednak jeszcze większą grupę stanowią wyborcy kibice. Od kilku lat dyskusja polityczna przyjęła formę rozgrywek piłkarskich. Już nie chodzi o to, aby kraj rozwijał się w tę lub inną stronę, liczy się to, by „nasi" wygrali. W takiej optyce nie mają znaczenia afery, wpadki ani puste obietnice. Ważny jest tylko dobry wynik na koniec sezonu.

Rozmawiał Maciej Belowski

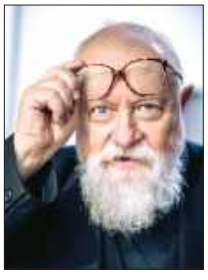
FOT. YOUTUBE, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 25e4991eaf



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

Powściągliwość



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Jeszcze stosunkowo niedawno ukazywał się organ michalitów „Powściągliwość i Praca". Jawnie etycznie brzmiący tytuł prowokował niektórych do ironicznych odniesień, ale w istocie to jeszcze XIX-wieczne przesłanie wydaje się na poważnie dobrą dewizą i na dziś.

Co do pracy, można ją uważać za dobrodziejstwo lub uciążliwy obowiązek, tak czy inaczej o niepodważalnej cenie. A powściągliwość?

To jedna z cech, których brak daje się odczuć w tzw. dyskursie publicznym. W dążeniu do wyrazistości i przy przekonaniu o tym, że konflikt jest atrakcyjny, a ataki skuteczne, przy o wiele większej wygodzie piętnowania niż pozytywnej autoprezentacji – ten brak powściągliwości wydaje się względnie zrozumiały.

Z pewną satysfakcją odebrałem znalezioną w internecie uwagę, że gwałtowna publiczna reakcja na nieszczęsny oczywiście raport pani Mróz dokumentuje powszechną radość z piętnowania. Brak powściągliwości w krytykowaniu tego językowo całkowicie nieudanego tekstu pokazuje przecież nie tylko naszą (jakże cenną) troskę o czystość polszczyzny. Przy okazji i mnie się dostało za właśnie niedostateczną – zdaniem wielu – krytykę, której naganna łagodność brała się niestety nie tyle z mojej własnej pożądanej powściągliwości, ile z braku wiedzy o raporcie w pełnej jego krasie. Przytoczonych kilka przykładów nie skłaniało mnie do tego, bym uznał słowo „kompromitacja" za w pełni usprawiedliwione, i może trochę z ostrożności, i z właśnie uświadamiania sobie powszechnego braku powściągliwości w ocenach, tak wyszło.

Trochę żartobliwie można zresztą uznać, że rzeczony raport spełnił także jedną pozytywną rolę: mianowicie mogliśmy się przekonać, że sztuczna inteligencja nie jest na tyle inteligentna, by móc się nią swobodnie (i bezczelnie) posługiwać przy tworzeniu tekstów – w tym wypadku oficjalnych i mających wymiar naukowy, ale pewnie też innych, łącznie z literackimi. Może mniej w niej zatem inteligencji, którą tak cenimy, a więcej sztuczności, do której mamy stosunek raczej słusznie negatywny.

A powściągliwość, nawet ironicznie podkreślaną, wciąż uważam za właściwą cechę u osób publicznie się wypowiadających…

■

eprasa.pl 25e4991eaf

CZĘŚĆ 1.

EUROPA W AMERYKAŃSKIEJ PUŁAPCE

Nie można zbudować bezpiecznej Europy bez Niemiec i bez Rosji

Rozmawia Robert Walenciak



PRZEMYSŁAW GRUDZIŃSKI
– historyk, wykładowca akademicki, dyplomata

Czy Donald Trump jest pomyłką systemu?

– Nie. Jest emanacją systemu. Spójrzmy na historię Stanów Zjednoczonych. Prekursorem prezydenta Donalda Trumpa był np. prezydent Andrew Jackson. Nawet stworzono taką kategorię – jacksonizm. To taki, powiedziałbym, typ kowbojskiej polityki, która mówi bez ogródek o interesach, nie zasłaniając się pięknymi hasłami, prawem międzynarodowym czy uznaniem dla podmiotowości innych. Jest to coś, co opiera się na nagiej sile i własnym interesie.

I pazerności.

– Tak, chciwości, pazerności. Nie ma tu uwzględnienia podmiotowości drugiej strony ani nawet próby wczytania się w jej interesy i intencje. Czyli gra międzynarodowa staje się bardzo uproszczona. W tym sensie Trump, przy wszystkich swoich osobliwościach, bo charakter i osobowość też ma tu znaczenie, to nie żaden przypadek czy wypadek historii, tylko logiczna konsekwencja biegu rzeczy. Część większych procesów. Dały one o sobie znać w czasie prezydentury George'a Busha juniora. To on rzucił wyzwanie całej społeczności międzynarodowej, dokonując inwazji na suwerenne państwo bez aprobaty Narodów Zjednoczonych. To jest ten wielkomocarstwowy nacjonalizm, który ma w tej chwili apogeum.

A jak wytłumaczyć działania Trumpa wobec Europy? Stałą presję, którą na nią wywiera, i groźby, że zabierze Grenlandię, wycofa wojsko, że nałoży cła.

– Dawny świat już nie istnieje. Współczesny porządek światowy nie jest już porządkiem równorzędnych państw, lecz układem zależności, w którym jedni aktorzy kontrolują warunki działania drugich.

Zgodnie z pańską tezą żyjemy w czasach nowego międzynarodowego feudalizmu...

– ...i świat podzielony jest na kilka klubów. Europa znajduje się w klubie północnym. Jego suzerenem, czyli szefem, jest prezydent USA, w tej chwili Donald Trump.

Ale on nie szanuje innych członków klubu.

– Stany Zjednoczone dają Europie bezpieczeństwo, w zamian Europa musi spłacać rozmaite długi, swoją rentę feudalną, musi być lojalna. Jest pan feudalny – Ameryka. A Europa jest zbiorowym wasalem, który musi płacić za bezpieczeństwo, za surowce, musi kupować drogą amerykańską broń.

Oraz drogi amerykański gaz i drogie usługi informatyczne.

– W dodatku ta ochrona jest niepewna, bo od czasu do czasu Trump mówi: a może ja was nie ochronię, może art. 5 traktatu waszyngtońskiego nie obowiązuje? Bo jeżeli nie jesteście już tacy lojalni wobec mnie, to dlaczego ja mam być lojalny wobec was?

eprasa.pl 25e4991eaf

A Europa? Dlaczego nie mówi: chcemy się wyzwolić z tej nierównej sytuacji podległości w stosunku do USA?

– Europa nie potrafi tego powiedzieć, nawet tam, gdzie jest mocniejsza od Stanów Zjednoczonych. Przecież jako Unia Europejska jest potęgą gospodarczą, a jak wyglądają relacje handlowo-gospodarcze z USA? Mamy poddanie się dyktatowi amerykańskiemu przez Ursulę von der Leyen na polu golfowym w Szkocji. Europa cały czas jest chłostana groźbami i manipulowana przy użyciu kolejnych sankcji.

I milczy. Nie potrafi opodatkować amerykańskich big techów.

– Bo nie widzi innej możliwości albo nie chce jej zobaczyć. Dopóki Europa nie uzna, że jest jakiś inny sposób funkcjonowania w systemie międzynarodowym, dopóty pozostanie zbiorowym wasalem Stanów Zjednoczonych.

Niedawno w Berlinie mieliśmy szczyt grupy E5, na którym spotkali się przywódcy największych państw Unii. I w pierwszym punkcie komunikatu wydanego po spotkaniu deklarowana jest lojalność wobec Paktu Północnoatlantyckiego. Że rozwijamy stosunki transatlantyckie. O czym to świadczy?

To pańska teza – że Europa sama skazała się na samotność międzynarodową. Czyli, wobec braku wyboru, skazała się na rolę wasala USA.

– Jeśli Europa nie widzi wyjścia, to musi być wasalem. Bo też dla obecnego systemu, dla nowego feudalizmu, charakterystycznym momentem jest to, że próg wyjścia ze stosunku suzeren-wasal jest bardzo wysoki. A Europa jest przekonana, że wyzwolenie się spod parasola amerykańskiego byłoby dla jej bezpieczeństwa groźne. Dopóki w to wierzy, dopóty tego wyzwolenia nie podejmie. Ta więź jest główną gwarancją, z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych, utrzymania lojalności Europejczyków.

To z jednej strony obawa, że Amerykanie sobie pójdą. Z drugiej strach, że zabiorą Grenlandię. Wszystko razem paraliżuje.

– Nie jest to zatem więź partnerska, tylko zależność. Spójrzmy, na ilu polach ona występuje. Ile razy codziennie otwiera pan komórkę czy internet? Dostęp do tych dóbr cyfrowych jest całkowicie uzależniony od Stanów Zjednoczonych. Karta Visa, czyli cały system finansowy, zależny jest od Stanów Zjednoczonych. Komunikacja między urzędami państwowymi także. Informacja, wiedza – dostęp do tych najcenniejszych w dzisiejszym świecie dóbr jest w rękach amerykańskich. Nasza suwerenność cyfrowa nie istnieje. To coś, o czym decyduje Waszyngton, korporacje, które oplatają amerykańską administrację, kompleks wojskowo-przemysłowy. To oni decydują o warunkach brzegowych suwerenności państw europejskich. Oczywiście te państwa wciąż udają, że są w pełni niezależne, że decydują o losie swoich obywateli. A tak naprawdę jest to bardzo ograniczona suwerenność. Nie na zasadzie rozkazu, dyktatu, tylko poprzez stwarzanie ram, w których odbywa się konsumpcja danych dóbr.

Albo stawianie bramek dostępu. I zamykanie ich lub pobieranie opłat za dostęp.

– Chcecie mieć dostęp do naszego wywiadu wojskowego? Proszę bardzo, ale co za to dostaniemy? Chcecie mieć dostęp do naszego gazu, no to zapłaćcie taką cenę, jaką chcemy. Chcecie mieć dostęp do sztucznej inteligencji? Proszę bardzo, ale... A do chipów najnowszej generacji? A do naszej broni? Ten dostęp, jego zakres, ustanawia suzeren. I to warunkuje zakres naszej wolności.

Europa ma wszystkie atrybuty, oprócz mądrej elity.

A chyba również wpływa na naszą mentalność. Byłem zdumiony tą powszechną radością, że amerykańska baza będzie w Polsce. Za nasze pieniądze.

– Oczywiście można powiedzieć, z punktu widzenia abstrakcyjnej analizy stosunków bezpieczeństwa, że lokowanie stałej bazy USA, czyli wciąż najsilniejszego militarnie mocarstwa na świecie, ma sens. Ale do tego musimy też przyjąć założenie, że zagraża nam śmiertelne niebezpieczeństwo, które nakazuje oddanie fragmentu naszej suwerenności. W czasach zimnej wojny mieliśmy jednak pełną świadomość, że w razie konfliktu zarówno bazy, jak i terytorium Polski będą celem dla obcych wojsk i polem walki. Teraz tej świadomości chyba brakuje, więc… Były tutaj bazy radzieckie, szczęśliwie się ich pozbyliśmy. Była radziecka broń nuklearna…

Też się jej pozbyliśmy.

– I marzymy, żeby znów była broń nuklearna. Na własne życzenie wchodzimy w potężny system uzależnienia od bardzo chimerycznego suzerena, który dzisiaj mówi jedno, a jutro może powiedzieć drugie.

Wygląda to tak, że polscy politycy, zwłaszcza ci z prawicy, stawiają się w roli pomocnika Amerykanów. Wiernego, niezadającego pytań. W tej chwili jesteśmy ulubionym europejskim krajem prezydenta Trumpa.

Przemysław Grudziński – podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej (1992-1993) i Ministerstwie Spraw Zagranicznych (1998-2000, 2008-2009). W MSZ zajmował się relacjami ze Stanami Zjednoczonymi i z państwami Europy Wschodniej. Ambasador RP w USA (2000-2005), stały przedstawiciel RP przy Biurze ONZ w Wiedniu (2009-2014) i ambasador RP w Finlandii (2015-2017).

Do 1996 r. pracował jako adiunkt i docent Instytutu Historii PAN. Był profesorem w George C. Marshall European Center for Security Studies w Niemczech. Opracował teorię opisującą współczesny świat jako nowy międzynarodowy feudalizm. Autor takich publikacji jak: „Uczeni i barbarzyńcy. Polityka nuklearna Stanów Zjednoczonych 1939-1945", „Państwo inteligentne. Polska w poszukiwaniu międzynarodowej roli", „Rozpadające się światy. O człowieku i państwach w labiryncie rzeczywistości", „Życie w twardym państwie".

eprasa.pl 25e4991eaf

– Za chwilę możemy przestać być ulubionym. Giorgia Meloni była ulubioną premierką, nagle przestała. Dzisiaj nasz prezydent jest ulubionym w Europie prezydentem Trumpa, ale czy będzie nim jutro? Ważniejsza jednak jest cena, którą Polska będzie musiała zapłacić za Fort Trump. Nie tylko te 10 mld zł, ale cenę, która wyraża się w uzależnieniu. Zastanówmy się – partie głównego nurtu, które mówią głośno o niepodległości, o wolności, po kawałku rezygnują z tej suwerenności i autonomii. Oddają się w ręce kogoś innego. O co tu chodzi?

Znajduję trzy powody wojskowej obecności Amerykanów w Polsce. Pierwszy: chcą tu być, bo muszą pilnować swoich interesów w Europie. Drugi – żeby bronili nas przed Rosjanami. Ale to nasza wiara, bo dziś mogą nas chronić, a jutro powiedzą, że Putin jest fajny, że się dogadali i teraz my też musimy się dogadać. Trzeci powód jest chyba najistotniejszy – ich obecność wpływa na wewnątrzeuropejską geopolitykę, bo Niemcy nie są tak dominujące, kiedy jest armia USA. Pisał pan, że sama Europa, bez Amerykanów, może się przekształcić w dawny koncert skonfliktowanych mocarstw, z dominującą rolą Niemiec.

– Na to lekarstwem jest federalizacja Europy. Prawdziwa federalizacja, której przeciwstawiamy się my i część innych państw (zwłaszcza rosnące w siłę partie prawicowe), mówiąc o Europie ojczyzn.

Ta niedookreślona Europa ojczyzn to ładna nazwa Europy rozbitej i skonfliktowanej. Czyli samo uniezależnienie się od amerykańskiego suzerena też daleko nas nie zaprowadzi.

– To samo w sobie nie gwarantowałoby raju na ziemi w Europie i wiecznego pokoju. Bo jeszcze jest kwestia, jak Europę zorganizować. Przed kilkoma dekadami była modelem pokojowego kontynentu, stopniowo zmierzającego do pełnowartościowej federacji europejskiej. Byłaby to ostateczna gwarancja pokoju między jej członkami. Oni, owszem, zrzekliby się części swoich suwerennych prerogatyw, ale w zamian za pokój.

Za wspólną przestrzeń gospodarczą i siłę geopolityczną.

– Taki był ten cud europejski, który nastąpił. Państwa europejskie nie walczą między sobą! Konflikty są amortyzowane w ramach wielkiego, pokojowego projektu europejskiego. Ale to się skończyło. Sama Europa jest nakręcona na kontynuowanie wojny by proxy (pośrednio) z Rosją.

Informacja, wiedza – dostęp do tych najcenniejszych w dzisiejszym świecie dóbr jest w rękach amerykańskich.

Załóżmy, że Europie udaje się stanąć na własnych nogach.

– Wtedy musi dojść do skoku jakościowego w budowie wspólnych struktur europejskich. Musi być wspólna armia europejska, dowodzona centralnie.

A jaki język w tej armii?

– Lingua franca, czyli angielski. Zresztą ten język dominuje w operacjach pokojowych ONZ, w światowych operacjach tego typu. Wtedy, tworząc federację, a nie Europę ojczyzn, uniknęlibyśmy niebezpieczeństwa, że Niemcy miałyby otwartą drogę do sięgnięcia po dominację w Europie, gdyby decydował stosunek sił.

Nasza suwerenność cyfrowa nie istnieje.

A to jest możliwe? Dominacja Niemiec?

– Jeżeli kanclerz mówi dzisiaj o najsilniejszej armii, o przewodzeniu w Europie, o roli niemieckiego przemysłu, trzeba na to uważać. Niemcy są państwem demokratycznym i pamiętają o tragedii II wojny światowej, o hitleryzmie. Ale żadna kompozycja polityczna nie jest dana raz na zawsze. Musimy zatem patrzeć na to rozsądnie.

To znaczy?

– Z naszego punktu widzenia rozsądne jest umacnianie partnerskich stosunków z Niemcami. Tym bardziej że nie można zbudować bezpiecznej Europy – to trzeba sobie powiedzieć – bez Niemiec. Nie można też zbudować bezpiecznej Europy bez ułożenia stosunków z Rosją. Jeżeli więc te relacje, na obu naszych granicach, będą buksować, a na jednej tak właśnie jest, to nie dokładajmy sobie sytuacji przedwojennej – dwóch wrogów. To byłoby największe głupstwo. Powrót do teorii dwóch wrogów byłby szaleństwem.

Czyli federacja.

– Pracy nad budowaniem jedności europejskiej w tej chwili nie widzę. To się zatrzymało. Jest tylko jeden moment europejskiej solidarności, który koncentruje całą energię – to projekt wojenny.

Ukraina.

– Ukraina i projekt wojenny. To jest wbrew naturze projektu europejskiego, stanowi jego zaprzeczenie. Europa powinna dążyć do jak najszybszego zawarcia pokoju. Jest to warunek sine qua non także pomyślności Ukrainy – im dłużej trwa ta wojna, tym bardziej zniszczona i zdewastowana z niej wyjdzie. Naród codziennie traci tylu wspaniałych ludzi! Czyli pokój na wschodzie to warunek odbudowy równowagi w Europie. Ponieważ Europa ma dwa płuca…

…jak mówił Jan Paweł II. I dwoma trzeba oddychać.

– Zapomniano, że płuco nie kończy się na Bugu, to płuco europejskie. Zbiorowa wasalizacja Europy jest jednak konsekwencją właśnie tego konfliktu.

Bezalternatywności?

– Dopóki ta wojna trwa i Europa czuje się bardzo zagrożona, nie ma innej rady jak budowa europejskiego Fortu Trump, ucieczka pod opiekę amerykańską. Obecny porządek międzynarodowy jest porządkiem klubów. I w tym przypadku mogłyby być w tej przestrzeni dwa kluby, brukselski i moskiewski, współpracujące w ramach partnerstwa strategicznego. Gdybyśmy to zrealizowali, Europa miałaby przestrzeń do

eprasa.pl 25e4991eaf



Donald Trump, przy wszystkich swoich osobliwościach, to nie żaden wypadek historii, tylko logiczna konsekwencja biegu rzeczy.

poruszania się między klubem z Waszyngtonu a klubem z Pekinu.

W związku z tym Rosja nie musiałaby ulegać wpływom chińskim. A Europa nie musiałaby ulegać wpływom Waszyngtonu.

– Być może byłoby to jakieś rozwiązanie idące w stronę świata bezpieczniejszego, stabilniejszego i sprawiedliwszego. Ponieważ jeżeli jest jeden suzeren, od którego jesteśmy uzależnieni i nie widzimy alternatywy, a on zdaje sobie z tego sprawę, wykorzystuje to bezwzględnie.

Czyli mamy świat bezwzględnej dominacji suzerenów, którzy...

– ...kontrolują dostęp. A jeżeli nie potrafimy sobie z tym poradzić, jesteśmy w sytuacji uzależnienia. Mimo że jesteśmy kontynentem bogatym, pełnym zasobów kulturowych, politycznych i wojskowych. Europa ma wszystkie atrybuty, oprócz mądrej elity. Bo jedną z przyczyn naszego tak daleko idącego uzależnienia jest to, że elity europejskie już 20 lat temu przestały być kreatywne i tylko imitują to, co idzie zza oceanu.

Polityka europejska stała się refleksem polityki Waszyngtonu?

– Wystarczy popatrzeć, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Czy Europę stać na jakąkolwiek samodzielność w ocenie tego, co się dzieje w Gazie lub na Zachodnim Brzegu? Mamy puste deklaracje. Gdy przychodzi co do czego, Europa nie potrafi powiedzieć „nie".

Stany Zjednoczone już ponad 20 lat temu doprowadziły do destabilizacji Bliskiego Wschodu i w związku z tym Europa została „narażona" na wielki napływ uchodźców, i ten napływ zaabsorbowała. Poniosła potężne koszty. Ale nie potrafiła powiedzieć Stanom Zjednoczonym: nie róbcie tego, bo bezpośrednie skutki dotykają nas! Przeciwnie, to Ameryka strofuje Europę: nie potraficie obronić swojej cywilizacji przed obcymi! A przecież praprzyczyną tego kryzysu są operacje specjalne lub wojny, które USA toczą na Bliskim Wschodzie, konsekwentnie go destabilizując. Czyli tam, gdzie mają miejsce wydarzenia żywotnie dotykające Europę – ona zupełnie nie potrafi temu przeciwdziałać ani powiedzieć „nie". Ale z Ukrainą jest tak samo.

Tak samo?

– Ukraina w pierwszym okresie była tym elementem gry, który USA wykorzystywały do, powiedzmy, osłabienia Rosji. Mówię jeszcze o sytuacji przedwojennej, o stopniowym lokowaniu różnego rodzaju amerykańskich przyczółków. To uwarunkowało tę nieszczęsną decyzję prezydenta Putina. Nie jest tak, że ona się wzięła z powietrza. Wcześniej trzeba było zmienić konstytucję Ukrainy, trzeba było obiecać Ukrainie członkostwo w NATO, stowarzyszenie z Unią Europejską. Dać obietnice, które prawdopodobnie nigdy nie zostaną zrealizowane. Ukraina zostanie z niczym i będzie po straszliwej wojnie skazana na biedę, na destabilizację.

Lekarstwem jest federalizacja Europy, której my i część innych państw, a zwłaszcza prawica, przeciwstawiamy się, mówiąc o Europie ojczyzn.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Za tydzień druga część rozmowy z Przemysławem Grudzińskim:

- Kto wygrywa na wojnie rosyjsko-ukraińskiej?
- Czy Europa wie, co zrobić z Rosją?
- Dlaczego wolimy wojnę od pokoju?
- Czy Europa może się wyzwolić z zależności od Ameryki?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, EVELYN HOCKSTEIN/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 25e4991eaf

Ziobro brał, Kaczyński nie wiedział, Bogucki zgłosił…

Politycy prawicy umoczeni w aferę Zondacrypto

Robert Walenciak

Afera Zondacrypto ma kilka poziomów. Poziom pierwszy to zwykły kryminał. Z podejrzeniem morderstwa, mafią i okradzeniem tysięcy inwestorów na setki milionów złotych. A może i na miliardy – szacunki sięgają od 460 mln do 3 mld zł.

Państwo w tym czasie nie reagowało. I to jest drugi poziom – dlaczego sprawy przeciwko BitBay i Zondacrypto były w prokuraturze od 2018 r. wielokrotnie umarzane? A rozpoczynały się na wniosek Komisji Nadzoru Finansowego.

Poziom trzeci to powiązania właścicieli Zondacrypto ze światem polityki, służb specjalnych i mediów, zwłaszcza tych związanych z prawicą. Tu układ był oczywisty – Zondacrypto dawała pieniądze, w zamian miała dwie korzyści. Wybielała się w oczach naiwnych inwestorów, bo skoro w sponsorowanej przez nią imprezie uczestniczą kandydat na prezydenta Polski i wysłanniczka prezydenta USA, to można mniemać, że firma jest w klasie premium. Skoro jej reklamy są wyświetlane w telewizji, z którą współpracuje niedawny minister sprawiedliwości i prokurator generalny, można wnioskować, że jest ona po dobrej stronie mocy. W ten sposób naganiano do Zondacrypto klientów.

Druga korzyść to czysty kryminał: firma płaciła politykom, przelewała środki na ich różne fundacje. Czy w ten sposób zyskiwała wpływ na ich decyzje? Na kształt procesów legislacyjnych regulujących rynek kryptowalut? Na działania PiS i Konfederacji w Sejmie, na trzy weta prezydenta? Jeżeli tak, to mamy do czynienia z łapówką. Dlatego ten poziom afery wzbudza dziś najwięcej emocji. Bo za konszachty Zbigniewa Ziobry z Przemysławem Kralem może zapłacić cała prawicowa formacja. Dla wielu polityków jest to więc walka o wszystko.

Bo ta afera może długo żyć. Co prawda, większość Polaków nie za bardzo się orientuje, co to są bitcoiny itd., lecz doskonale wie, że zegarek, który kosztuje 170 tys. zł, czyli tyle, ile luksusowy samochód, to przejaw rozpusty. Że 450 tys. nie daje się za nic… A bratanie się z ludźmi, zza pleców których wygląda Sylwester Suszek, zaginiony (zamordowany?) pierwszy właściciel giełdy, jest moralną zgnilizną. To coś gorszego niż słynne ośmiorniczki.

Prawicowa opozycja poczuła więc mroźny powiew, bo fajnie było korzystać z brudnych pieniędzy, ale teraz okazuje się, że rachunek za ten bal mogą wystawić wyborcy. A do drzwi puka prokurator.

Dlaczego sprawy przeciw BitBay i Zondacrypto prokuratura od 2018 r. wielokrotnie umarzała?

•

PiS, choć sprawa wychodzi poza ludzi tej partii, dotyczy i Konfederacji, i Kancelarii Prezydenta, i związanych z PiS mediów, buduje kolejne linie obrony.

Zacznijmy od linii numer jeden: przejąć kontrolę nad aferą i zacząć nią administrować. Bo co parę dni pojawiają się nowe informacje, z kilku źródeł, a wygrzebują je czołowi polscy dziennikarze śledczy. Wszystko dzieje się poza kontrolą PiS, więc żeby tę kontrolę przywrócić, PiS rzuciło hasło powołania komisji śledczej w sprawie Zondacrypto.

To sprytny pomysł. Większość Polaków jest za, uważa, że komisja śledcza to dobre ciało, by badać takie sprawy. Poza tym zatrzymałaby impet odsłaniania sprawy. Skupiłaby zainteresowanie opinii publicznej na sobie. Jej procedury skutecznie wszystkich by znudziły – najpierw wybór składu, potem proceduralne kłótnie, potem osobne konferencje jej członków i możliwość prezentowania własnych teorii. Przesłuchiwanie świadków, prokuratorów… No i czas. Wiadomo, że komisja nie skończyłaby pracy i za rok. Dlatego komisji śledczej w sprawie Zondacrypto nie będzie. Przynajmniej w tej kadencji Sejmu.

PiS to wie, szuka zatem następnego wykrętu. W najtrudniejszej sytuacji jest Zbigniew Ziobro. Mamy bowiem zeznania Przemysława Krala, że przekazał na konto fundacji Ziobry 450 tys. zł. No i mamy przelew. Nie da się zaprzeczyć. Ziobrę więc usprawiedliwia Jarosław Kaczyński. Że,

eprasa.pl 25e4991eaf

owszem, popełnił błąd, tych pieniędzy brać nie powinien, ale przecież nie wiedział, kim jest Kral. Sam Ziobro też tak się broni. Przyjął pieniądze, ale w dobrej wierze. Udzielił w tej sprawie wywiadu Tomaszowi Sakiewiczowi („Gazeta Polska", TV Republika), który – o tym dalej – sam jest w kontakty z Kralem zamieszany.

Ziobro tłumaczy, że za wszystkim stał były agent CBA Artur Chodziński, który pośredniczył w kontaktach między Kralem a prawicowymi politykami. Mówi, że Chodziński opisał mu Krala „jako adwokata i poważnego przedsiębiorcę, a Zondacrypto jako największą w tej części Europy



Zbigniew Ziobro broni się, że przyjął pieniądze, ale… w dobrej wierze. Udzielił w tej sprawie wywiadu Tomaszowi Sakiewiczowi.

firmę tego rodzaju, działającą legalnie od lat nie tylko w Polsce, ale też w innych krajach europejskich". „Powiedział mi, że Kral bardzo wysoko ocenia moją działalność jako prokuratora generalnego, zwłaszcza rozbicie mafii VAT-owskich i walkę ze zorganizowaną przestępczością. Z powodów ideowych i własnych przekonań miał więc chcieć wesprzeć działalność mojego środowiska", zapewnia.

I jak wynika z wywiadu, Ziobro wziął te pochlebstwa za dobrą monetę. Tłumaczył to tym, że już nie był ministrem, lecz posłem opozycji, więc nie miał narzędzi, by Krala sprawdzić. To wykręt, w który nie da się uwierzyć.

Sprawa zaginięcia Sylwestra Suszka, przejęcia jego majątku, dziwnych ludzi kręcących się wokół Zondacrypto, podejrzeń, że giełdą sterują przestępcy i służy ona praniu brudnych pieniędzy – to wszystko wiele razy prezentowano w mediach, i to tych największych. Film o zaginięciu Suszka był nominowany do nagrody Grand Press. Wystarczyło wpisać w wyszukiwarkę internetową hasła Kral i Zondacrypto, by wyświetliły się te materiały. Ziobro więc doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, i – choć udaje naiwnego – co za pieniądze Krala będzie musiał zrobić.

Wiele mówiący jest fragment zeznań „świadka" w sprawie Zondacrypto (możemy się domyślać, że Krala), który premier Tusk przeczytał w Sejmie, przed głosowaniem nad odrzuceniem prezydenckiego weta do ustawy o kryptowalutach: „Zbyszek zapoznał się z aktami. (...) Mówi, że gdyby wiedział, że taka sprawa się toczy, to natychmiast by interweniował. Obiecał, że jak wróci do władzy w Ministerstwie Sprawiedliwości, czego jest pewien, to ukręci łeb wszystkim tym sprawom. I żebym się nie martwił".

Oczywiście to zeznania świadka, należy je traktować z dystansem. Ale razem z przelewem na 450 tys. zł, a była to pierwsza część ogólnej sumy 2 mln zł, którą uzgodniono, tworzą ponury obraz.

•

Kolejna linia obrony Ziobry i PiS to atak. Otóż twierdzą, że to oni padli ofiarą Krala, bo rząd ich nie ostrzegł. Jarosław Kaczyński mówi, że za aferę Zondacrypto „przede wszystkim odpowiada rząd, który wiedział i nie powiedział". Podobnie tłumaczy się Ziobro. Skąd miał wiedzieć, że Kral jest osobą podejrzaną, skoro był posłem opozycji, a wszelkie instrumenty były w rękach rządu?

To także tłumaczenie Tomasza Sakiewicza, właściciela TV Republika, który chciał sprzedać Kralowi udziały w swojej telewizji. Chodziło o 20% akcji, wycenianych na 16 mln zł. Rozmowy w tej sprawie toczyły się od września 2025 r. I w Polsce, i w Monako. Zakończyły się przygotowaniem listu intencyjnego. Wcześniej Zondacrypto reklamowała się na antenie TV Republika, reklamowała też imprezę organizowaną przez stację w USA. Kral występował w programie Republiki, krytykując rządowy projekt ustawy o kryptowalutach.

Ile ta „współpraca" kosztowała Zondacrypto? Onet, korzystając z oficjalnego cennika reklamowego stacji, podał, że ponad 35 mln zł. Stacja twierdzi, że otrzymała 6-7 mln zł. I broni się, mówiąc, że to afera… Tuska, który wysłał Krala do Republiki, by ją skompromitować.

W tym duchu działa i Kaczyński. Afera została wykreowana, żeby uderzyć w prawicę. „Te wszystkie wrzaski, opowieści to echo rozpaczliwej obrony Donalda Tuska i jego ludzi przed całkowicie uzasadnionym oskarżeniem o nową wielką aferę, taką jak Amber Gold, albo i większą – wołał 10 września na Placu Piłsudskiego w Warszawie. – To nic innego jak to, co jest stałym instrumentem tej władzy. To znaczy kłamstwo, kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo. Przykrywanie jednym kłamstwem kolejnego kłamstwa".

A Ziobro w TV Republika dodawał: „Jest prowadzona operacja specjalna »zniszczyć prawicę«. Polega na tym, że ludzie, którzy są dzisiaj u władzy, dogadali się z przestępcami, na pewno z jednym, i tworząc nieprawdziwe fakty oraz wyjaśnienia, usiłują uwikłać cały obóz prawicy w tego rodzaju kłamliwe przedsięwzięcia, które nie miały miejsca". Mamy zatem konstrukcję, która przedstawia aferę Zondacrypto jako kolejny etap wojny politycznej PO-PiS:

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 25e4991eaf

wyjątkowo brudny, bo Tusk dogadał się z przestępcami i wspólnie kłamią, by oskarżać prawicę.

Pytanie nasuwa się samo: czy taka bomba atomowa, że wszystko jest kłamstwem, spreparowanym po to, by oskarżyć liderów PiS, może przekonać wyborców? Czy uwierzą, że żyjemy w czasach stalinowskich, w czasach procesów pokazowych? W takie tłumaczenia wierzyć może garstka największych fanów PiS. I nikt więcej. Zresztą w ostatnim badaniu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" na pytanie: „Które z ugrupowań są Pana/i zdaniem najbardziej obciążone aferą związaną z giełdą kryptowalut Zondacrypto?" aż 53% odpowiedziało, że PiS. 24,8% – że Konfederacja, 22,2% wskazało Koalicję Obywatelską. Wynik jest więc miażdżący. Pokazuje, że wyborcy, i to wszystkich partii, nie wierzą w tłumaczenia Ziobry i Kaczyńskiego. Bo są one zbyt dalekie od rzeczywistości.

•

O tym, że rynek kryptowalut wymaga uregulowania, bo to Dziki Zachód, wiadomo od lat. Opinia publiczna doskonale też wiedziała i widziała, jak rząd walczy w tej sprawie z prawicą i z Pałacem Prezydenckim. Sejm trzy razy uchwalał ustawę o kryptowalutach i trzy razy Karol Nawrocki ją wetował. Wszystko przy otwartej kurtynie, to były głośne wydarzenia. Teraz, gdy dowiadujemy się jednocześnie, kto jakie zgłaszał poprawki do ustawy o kryptowalutach i jakie dostawał przelewy, zaczyna się to układać w spójną całość.

A Donald Tusk gra ostro. W Sejmie cytował zeznania Krala: „Zapłaciłem za to, bo miałem być czystym człowiekiem. Najważniejsze w tej współpracy było to, że pan X – publicznie znana osoba – obiecywał, że jak Nawrocki zostanie prezydentem, to on załatwi mi ułaskawienie, gdybym został skazany w tej sprawie". Kim jest „pan X"?

Wyborcy nie wierzą w tłumaczenia Ziobry i Kaczyńskiego, są one zbyt dalekie od rzeczywistości.

Przed ubiegłotygodniowym posiedzeniem rządu premier znów uderzył w Kancelarię Prezydenta. Przypomniał, że podczas procedowania pierwszego rządowego projektu w sprawie kryptowalut wpłynęła poprawka, którą „poprzez Związek Banków Polskich forsowała Zondacrypto".

„Proponowaliśmy, aby państwo mogło blokować strony internetowe, których funkcjonowanie narażało na straty i szkody obywateli. Przyszła poprawka, podpisana przez pana ministra Boguckiego (...), która – powołując się na prawa i wolności konstytucyjne – próbowała wyrzucić de facto ten artykuł, tak go zmienić, aby państwo nie mogło blokować stron internetowych". I dodawał: argument opozycji, która wskazywała, że rządowa ustawa jest za długa, był „kolejną groteskową próbą zablokowania za wszelką cenę tych przepisów, które dawały szanse państwu polskiemu na skontrolowanie i nadzór nad takimi przedsięwzięciami jak Zondacrypto. Projekt rządowy – 106 stron i 168 artykułów, projekt autoryzowany przez prezydenta Nawrockiego – 108 stron i 170 artykułów".

Wszystko więc jasne, możemy śmiało zakładać, że prokuratura będzie próbowała dociec, do kogo w Kancelarii Prezydenta docierał Przemysław Kral. I dlaczego szef kancelarii Zbigniew Bogucki podpisał się pod poprawką Zondacrypto. Pewnie będzie też próbowała dociec, jak przebiegał proces legislacyjny. A jest już tajemnicą poliszynela, że jako autorzy dziwnych poprawek pojawiali się posłowie prawicy, którzy nigdy wcześniej nie interesowali się kryptowalutami ani tym rynkiem.

Trzeci obszar prac prokuratury to zaginięcie Sylwestra Suszka. I to jest już wątek czysto kryminalny. Nie zapominajmy także o Radosławie Piesiewiczu, prezesie PKOl, któremu już postawiono zarzuty. Jego sprawa również będzie bulwersować opinię publiczną.

Afera Zondacrypto nie wygląda więc na zwykłą aferę, jakich wiele przeżyliśmy w III RP, które umierały, bo znudziły się publiczności. Tu wątków mamy tyle, i to dla różnych grup odbiorców, że jeszcze długo będzie o czym mówić i pisać. Krąży też wokół niej, i to od lat, grupa dobrych dziennikarzy śledczych, mających swoje kontakty. Trudno będzie to wszystko schować.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

TAK TO SIĘ DZIAŁO

• 2014 – Sylwester Suszek zakłada giełdę kryptowalut BitBay (późniejszą Zondacrypto). • 2018 – BitBay trafia na listę ostrzeżeń publicznych KNF. • 2019 – prokuratura umarza sprawę BitBay. • 2020 – prokuratura po raz drugi umarza sprawę BitBay. „Superwizjer" TVN emituje reportaż, w którym sugeruje, że kapitał giełdy mógł pochodzić z wyłudzeń podatku VAT. • 2021 – prezesem giełdy zostaje Przemysław Kral i zmienia jej nazwę na Zonda, a później na Zondacrypto. • 2022 – w marcu znika Sylwester Suszek. Po raz ostatni widziany jest w bazie paliwowej Mariana W. • 2023 – prokuratura umarza śledztwo w sprawie giełdy Zondacrypto. • 2024 – prokuratura po raz kolejny umarza śledztwo w sprawie giełdy Zondacrypto. • 2025 – maj, Zondacrypto jest sponsorem konferencji CPAC w Rzeszowie. • 2025 – sierpień, Michał Moskal spotyka się z Przemysławem Kralem na Ibizie. • 2025 – wrzesień, rozmowy Kral-Sakiewicz o sprzedaży 20% akcji TV Republika. • 2025 – październik, umowa sponsorska Zondacrypto-PKOl. • 2025 – październik, listopad, przelewy do fundacji Ziobry i fundacji Wiplera. • 2025 – listopad, zegarek dla Piesiewicza. • 2025 – pierwsze weto prezydenta do ustawy o kryptowalutach. • 2026 – luty, giełda Zondacrypto upada. • 2026 – kwiecień, Karol Nawrocki po raz drugi wetuje ustawę o kryptowalutach. • 2026 – kwiecień, prokuratura wszczyna śledztwo ws. Zondacrypto. • 2026 – czerwiec, Karol Nawrocki po raz trzeci wetuje ustawę o kryptowalutach. • 2026 – wrzesień, koalicja przegrywa w Sejmie wniosek o odrzucenie weta prezydenta.

eprasa.pl 25e4991eaf



TABLETKI WIELKIEGO RYZYKA

CIEMNA STRONA RYNKU SUPLEMENTÓW DIETY

Marek Czarkowski

Są legalne. Sprzedawane bez recepty w aptekach, sklepach i supermarketach. Często z napisem „naturalny" na opakowaniu. I z potencjałem wysłania nas do szpitala. Co naprawdę kryje się w kapsułkach, których rocznie łykamy za kwotę mniej więcej 7 mld zł?

Często zaczyna się niewinnie: najpierw mdłości, potem wymioty i ból brzucha. Później człowiek zaczyna się gubić, plątać, nie wie, gdzie jest. Wynik badań? Najczęściej za dużo wapnia we krwi i ostre uszkodzenie nerek. Wszystko przez coś, co miało wzmacniać odporność, czyli np. solidną dawkę witaminy D, kupionej bez recepty albo przez internet.

Większość pacjentów po leczeniu z tego wychodzi. Ale nie wszyscy. U części nerki nigdy nie wrócą do pełnej formy.

Leżą obok słonych paluszków

A przecież nie mówimy tu o narkotykach kupionych w nocnym klubie od dilera czy od anonimowego dostawy w darknecie, to historia produktu spożywczego ze sklepowej półki, takiego, który znajdziemy obok szamponu i herbaty. Który był reklamowany przez celebrytów w internecie, radiu i telewizji. Paradoksalnie najgroźniejsze w suplementach diety jest to, że są zupełnie legalne – a my przywykliśmy traktować je jak cukierki. W świetle prawa bowiem suplement diety to nie lekarstwo, lecz… jedzenie! Formalnie jest więc czymś takim jak batonik, jogurt albo słone paluszki.

Powszechnie wiadomo, że zanim lek trafi do szpitala lub apteki, przechodzi serię niezwykle kosztownych badań, które mają sprawdzić, czy jest bezpieczny. A suplement diety? Wystarczy, że przy pierwszym wprowadzeniu na rynek przedsiębiorca złoży do Głównego Inspektora Sanitarnego powiadomienie, w którym poda nazwę, producenta, postać, skład, wzór oznakowania w języku polskim i kwalifikację produktu. Nie jest to równoznaczne z uprzednią oceną skuteczności i bezpieczeństwa analogiczną do procedury, jaką przechodzą leki. Rejestr GIS odnotowuje tylko fakt pojawienia się nowego produktu i jego status.

Najwyższa Izba Kontroli zajmowała się rynkiem suplementów dwukrotnie – w roku 2017

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 25e4991eaf

i 2022. Z opublikowanego 18 stycznia 2022 r. raportu „Wprowadzenie do obrotu suplementów diety" wynika, że w latach 2017-2020 do Głównego Inspektora Sanitarnego wpłynęło 62 808 zgłoszeń nowych produktów. Do maja 2021 r. przeanalizowano… 6825 zgłoszeń. Czyli ok. 11%. Kto się tym zajmował? Maksymalnie siedmiu urzędników. Wypadało po ok. 300 zgłoszeń miesięcznie na głowę. Rok 2020 przyniósł 24,7 tys. zgłoszeń – o 70% więcej niż rok wcześniej.

W trakcie kontroli inspektorzy NIK znaleźli sprawy ciągnące się od ponad ośmiu lat do prawie 14. Przez ten czas produkt spokojnie leżał sobie w sklepach na półce. Czy te informacje oznaczają, że pozostałe 89% suplementów to trucizna? Oczywiście, że nie! To znaczy tylko tyle, że nikt tego nie wie. I w tym tkwi sedno problemu.

Kontrole jednak są. W 2022 r. laboratoria sanepidu przebadały 3657 próbek suplementów diety. Wśród zdyskwalifikowanych aż 84,68% miało błędy w oznakowaniu. Z kolei w serii 200 przebadanych próbek w siedmiu znaleziono substancje, których producent w ogóle nie zadeklarował w składzie. Wydano 256 decyzji administracyjnych i 78 zakazów wprowadzania do obrotu. Państwo działało – jak zwykle po fakcie. I trudno temu się dziwić.

W roku 2008 rynek suplementów diety szacowano na 1,7 mld zł, w 2024 r. było to 7,1 mld zł, a w tym roku może to być nawet 9 mld zł.

W świetle prawa suplementy diety to nie lekarstwa, lecz… jedzenie!

Mordercze witaminy

Według raportów PMR Market Experts oraz OSAVI po suplementy diety sięga dziś ponad 70% dorosłych Polaków. Absolutnym liderem sprzedaży jest magnez, często w połączeniu z witaminą B6. To najpopularniejszy minerał kupowany na zmęczenie, skurcze i stres. A także witamina D3 – masowo spożywana szczególnie w okresie jesienno-zimowym. W dawkach zgodnych z zaleceniami witamina D3 służy uzupełnianiu niedoborów. W nadmiarze – jej mechanizm działania jest dobrze opisany w literaturze medycznej. Nadwyżka witaminy D3 powoduje zwiększanie wchłaniania wapnia i może nasilać jego uwalnianie z kości.

Znany jest przypadek, gdy trenującym na siłowniach, w celu zwiększenia masy bicepsów i tricepsów, sprzedawano stosowany w weterynarii silnie skoncentrowany miks witaminowy, w którym dawka witaminy D3 była „końska". Dla niektórych skończyło się to ciężką hiperkalcemią i uszkodzeniem nerek.

Na szczęście w przypadku witaminy B6 i magnezu – które są powszechnie łączone w suplementach, ponieważ witamina B6 zwiększa wchłanianie magnezu w przewodzie pokarmowym o 20-40% – sytuacja jest o wiele lepsza. Magnez jest szybko wydalany przez nasz organizm wraz z moczem – przedawkowanie może się skończyć biegunką i nudnościami. Ale już zbyt duże porcje witaminy B6 mogą spowodować uszkodzenie włókien nerwowych.

Po suplementy diety sięga dziś ponad 70% dorosłych Polaków.

W literaturze medycznej opisano przypadek 27-letniej kobiety, która przez 18 miesięcy stosowała na trądzik wysoką dawkę witaminy A. W konsekwencji rozwinęło się u niej wodobrzusze, a jej wątroba uległa uszkodzeniu. W innym przypadku młoda kobieta, która przez dwa lata przyjmowała zbyt duże dawki witaminy A, również uszkodziła sobie wątrobę. Badania ujawniły też wzrost liczby wad u dzieci kobiet przyjmujących nadmierne dawki preformowanej (występującej w żywności pochodzenia zwierzęcego jako retinol i jego estry oraz w wielu suplementach diety) witaminy A, szczególnie przed siódmym tygodniem ciąży.

Dla dzieci szczególnie niebezpieczne są suplementy zawierające żelazo. Kolorowe kapsułki wyglądają jak cukierki. Dziecko łatwo może je pomylić ze słodyczami. W tym przypadku istotna jest jednak nie liczba tabletek, lecz dawka żelaza elementarnego (czystego żelaza, a nie całej masy soli, np. siarczanu żelaza) przypadającego na kilogram masy ciała. Już ok. 20 mg/kg wystarczy, by pojawiły się objawy żołądkowo-jelitowe. Przy 50-60 mg/kg mówimy o zatruciu ogólnoustrojowym.

Zatrucie żelazem może być zdradliwe. Dziecko wymiotuje, ma biegunkę – a potem objawy na jakiś czas ustępują. Rodzice oddychają z ulgą. Tymczasem w organizmie rozkręca się kwasica, wstrząs, zaburzenia krzepnięcia, ostra niewydolność wątroby, co może się skończyć śmiercią.

Odrębną kategorią są preparaty sprzyjające odchudzaniu. W lutym 2025 r. unijna sieć przeciwdziałania oszustwom żywnościowym, z udziałem m.in. Polski i Niemiec, odnotowała w tych suplementach podejrzenie obecności sibutraminy i furosemidu. Reklamowano je jako „100% naturalne zioła z Azji"! Sibutramina to organiczny związek chemiczny i lek hamujący łaknienie, który na przełomie lat 90. XX w. i w pierwszej dekadzie XXI w. był stosowany w farmakologicznym leczeniu otyłości. W Polsce znany był pod nazwą handlową Meridia. Lek zniknął z rynku w 2010 r., ponieważ wśród przyjmujących go pacjentów wyraźnie wzrosło ryzyko wystąpienia poważnych incydentów sercowo-naczyniowych. Furosemid to z kolei organiczny związek chemiczny będący jednym z najsilniejszych i najszybciej działających leków moczopędnych. Brak monitorowania jego przyjmowania może prowadzić do odwodnienia, zaburzeń elektrolitowych i spadków ciśnienia. A dla zażywających suplementy zawierające wymienione substancje może to się skończyć bólem w klatce piersiowej, bezsennością oraz innymi problemami ze zdrowiem.

eprasa.pl 25e4991eaf

Okazało się, że także skoncentrowany ekstrakt zielonej herbaty, będący dodatkiem do różnych produktów odchudzających, tzw. spalaczy tłuszczu, może prowadzić do uszkodzenia wątroby.

Szczególnym przypadkiem jest 2,4-Dinitrofenol (DNP). To substancja sprzedawana nielegalnie w internecie jako „cudowny" środek na odchudzanie lub spalacz tłuszczu. Może wywołać gwałtowną hipertermię, kwasicę i niewydolność wielonarządową. I nie ma na nią odtrutki. W 2024 r. opisano zgon 29-latka, który przez pięć dni zażywał po 200 mg DNP. W tym samym roku zmarł 21-letni kulturysta, który przez wiele miesięcy przyjmował DNP wraz ze sterydami anabolicznymi. Analiza zatruć tym specyfikiem z lat 2010-2015 wskazała wśród zgłoszonych przypadków śmiertelność na poziomie 11,9%.

W suplementach diety poprawiających potencję mężczyzn inspektorzy amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (Food and Drug Administration, FDA) wykrywali takie substancje jak sildenafil i tadalafil, będące składnikami popularnych leków – Viagry i Cialisu. Specyfiki reklamowano jako „naturalne".

Dobrze udokumentowane są też przypadki uszkodzenia wątroby przez kurkumę i kurkuminę. Jakiś czas temu pojawiły się również doniesienia kliniczne, że przyjmowanie popularnej w Polsce ashwagandhy także może prowadzić do uszkodzenia tego organu.

To, że suplementy diety nie podlegają tak rygorystycznej kontroli jak leki, sprawia, że o przykrych, a nawet tragicznych konsekwencjach ich zażywania dowiadujemy się często po fakcie.

W 2026 r. pojawił się rządowy projekt nowelizacji Ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia oraz Ustawy o Państwowej Inspekcji Sanitarnej. Dotyczył m.in. kwestii związanych z wprowadzaniem suplementów do obrotu oraz cyfryzacji nadzoru nad tym rynkiem. Planowano również ostre ograniczenia reklamy i znaczące podwyżki kar za łamanie prawa. Pierwotnym celem rządu było ograniczenie praktyki przypisywania suplementom diety właściwości leczniczych. Zdaniem autorów projektu maksymalna kara za takie działania miała wynieść 900 tys. zł. W kwietniu br. projekt nowelizacji ustawy skierowano do konsultacji społecznych. We wrześniu br. okazało się, że po uwagach zgłaszanych przez organizacje przedsiębiorców Ministerstwo Zdrowia wycofało się z ambitnych planów radykalnego podniesienia sankcji.

To ogromny biznes. Chodzi nie tylko o spółki produkujące suplementy i zarabiające na tym miliardy, lecz także o hurtownie, magazyny i apteki oraz szeroko rozumiane media, które mogą liczyć na solidne przychody z reklamy wszelkiej maści suplementów.

Jak szacują eksperci reprezentujący branżę, do roku 2030 rynek będzie rósł i przekroczy 10 mld zł. Nadal najchętniej będziemy kupowali

W 2022 r. laboratoria sanepidu przebadały 3657 próbek suplementów diety. Wśród zdyskwalifikowanych aż 84,68% miało błędy w oznakowaniu.

Trudno temu się dziwić. Polska Izba Handlu wskazała, że proponowane przez resort kary mogą obejmować także formalne uchybienia niemające bezpośredniego wpływu na bezpieczeństwo. A Federacja Przedsiębiorców Polskich oraz Izba Gospodarcza Farmacja Polska kwestionowały m.in. projektowany zakaz reklamy suplementów diety w aptekach i punktach aptecznych.

Biorąc pod uwagę wielkość rynku suplementów diety w Polsce oraz miliardowe kwoty, jakie firmy przeznaczają na ich reklamę, resort zdrowia od początku był bez szans.

witaminy. Kolagen, kreatyna czy magnez już dziś są dostępne w większości supermarketów, coraz częściej pod markami własnymi sieci, które je sprzedają. Oznacza to, że suplementy diety stały się częścią codziennych zakupów. I to się nie zmieni. Tort do podziału robi się coraz większy, z jednej strony zatem rząd będzie chciał uszczknąć więcej z zarabianych przez branżę miliardów, z drugiej zaś – będzie ona robiła wszystko, by politycy nie przeszkadzali jej w konsumpcji zysków. Zdrowie i stan portfeli klientów będą miały mniejsze znaczenie.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 25e4991eaf



W OBRONIE SCHABOWEGO

Na stołówkach zaczęła się walka z otyłością. Dla polityków to wojna ideologiczna

Kornel Wawrzyniak

Zdrowsze posiłki, mniej cukru i większa kontrola nad jakością żywności – takie są główne założenia nowego rozporządzenia Ministra Zdrowia. Przepisy, przygotowane na podstawie aktualnych norm żywienia Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH-PIB, mają pomóc w walce z nadwagą i otyłością wśród dzieci i młodzieży. Politycy opozycji dostrzegli w tej zmianie okazję dla siebie – zaczęli opowiadać o „lewactwie" i obronie schabowego. Zupełnie inaczej do sytuacji zdają się podchodzić rodzice. Restrykcyjne wytyczne widzą jako szansę na lepsze posiłki dla dzieci.

– Do tej pory na obiady w naszej szkole tylko się narzekało. Między rodzicami krążyły zdjęcia smutnych ziemniaczków i kwadratowych klopsów zalanych breją. W menu tymczasem barwne opisy dań typu „Faszerowany kurczaczek z penne w sosie grzybowym", a stołówki niechęć dzieci do fatalnego jedzenia tłumaczyły tym, że po prostu są zbyt wybredne – mówi jedna z matek.

Od początku nowego roku szkolnego zaczęło obowiązywać rozporządzenie Ministra Zdrowia z 16 lutego 2026 r., które wprowadza istotne zmiany w żywieniu dzieci i młodzieży w szkołach oraz przedszkolach. Nowe przepisy zaostrzają zasady sprzedaży produktów w sklepikach szkolnych i automatach z przekąskami i napojami. Na terenie placówek będzie można oferować wyłącznie produkty z zamkniętego katalogu 19 grup żywności. Przekąski i napoje będą musiały spełniać rygorystyczne normy dotyczące zawartości cukru, tłuszczu i soli, a ze słodyczy pozostanie gorzka czekolada zawierająca co najmniej 70% kakao. Dopuszczone do sprzedaży będą również wyłącznie stuprocentowe soki owocowe, warzywne i owocowo-warzywne, bez dodatku cukru, soli i substancji słodzących.

Rewolucja zaczęła się także w szkolnych i przedszkolnych stołówkach. Jadłospisy mają być od teraz planowane i bilansowane w cyklach dziesięciodniowych, tak aby średnia wartość energetyczna oraz zawartość składników odżywczych odpowiadały normom dla poszczególnych grup wiekowych. Co istotne, ograniczono potrawy smażone do maksymalnie dwóch razy w tygodniu. Dodatkowo raz w tygodniu uczniowie otrzymają pełnowartościowy obiad roślinny oparty m.in. na roślinach strączkowych, kaszach, pełnoziarnistych produktach zbożowych i warzywach.

Nowe przepisy kładą nacisk na produkty świeże i jak najmniej przetworzone. Od 1 września w stołówkach obowiązuje zakaz stosowania większości koncentratów spożywczych, gotowych mieszanek przypraw czy zup z proszku. Ograniczona została ilość cukru dodawanego do napojów przygotowywanych na miejscu. Dopuszczalny limit zmniejszono o połowę i wynosi teraz 5 g cukrów dodanych na 250 ml gotowanego napoju (to równowartość jednej płaskiej łyżeczki cukru na duży kubek). Warzywa i owoce mają być obowiązkowym elementem każdego posiłku przy zachowaniu przewagi warzyw. Zdaniem ekspertów zmiany mają poprawić jakość żywienia dzieci i kształtować zdrowe nawyki żywieniowe już od najmłodszych lat.

Choć Ministerstwo Zdrowia przedstawia zmiany jako element walki z otyłością, ich przeciwnicy doszukują się motywacji pozamerytorycznych. PAP przytacza wypowiedź byłego premiera Mateusza Morawieckiego, który biadał, że „zamiast

FOT. HUBERT HARDY/REPORTER

eprasa.pl 25e4991eaf

schabowego dzieci dostaną sojowego", a nowe regulacje nazwał „szaleństwami ideologicznymi".

Ministra edukacji Barbara Nowacka nie pozostawiła tych zarzutów bez odpowiedzi. Zwróciła uwagę, że „rozporządzenie weszło w życie w lutym" i wtedy nie budziło podobnych emocji u byłego premiera. Jej zdaniem trudno zrozumieć krytykę przepisów, których celem jest poprawa jakości żywienia dzieci – uczniowie w szkołach mają się odżywiać zdrowo.

Ministra odpierała również krytykę ze strony posłanki PiS Marii Kurowskiej, która w mediach społecznościowych nazwała dietę planetarną „obłąkańczą lewacką ideologią". Nowacka podkreśliła, że debata wokół nowych zasad żywienia powinna się opierać na wiedzy ekspertów. Zwróciła uwagę, że rozporządzenie zostało przygotowane przez dietetyków i specjalistów od zdrowia publicznego, a ci od lat mówią o znaczeniu zróżnicowanej diety bogatej w warzywa, produkty pełnoziarniste i rośliny strączkowe dla prawidłowego rozwoju dzieci.

Warto zauważyć, że dieta planetarna została opracowana w 2019 r. przez Komisję EAT-Lancet, czyli międzynarodowy zespół ponad 30 czołowych ekspertów z 16 krajów, reprezentujących różne dziedziny – od zdrowia publicznego, przez żywienie, na rolnictwie kończąc.

Dane Narodowego Centrum Edukacji Żywieniowej wskazują, że nadwaga lub otyłość dotyczy już niemal 30% dzieci i młodzieży. Szczególnie niepokojące są wyniki badań WHO COSI, według których problem ten występuje u 27,6% siedmiolatków, 32,5% ośmiolatków i 34,8% dziewięciolatków. Lekarze ostrzegają, że nadmierna masa ciała w dzieciństwie znacząco zwiększa ryzyko wystąpienia wielu chorób przewlekłych w dorosłym życiu. Statystyki dla starszych grup wiekowych, pochodzące z globalnego badania HBSC (Health Behaviour in School-aged Children), potwierdzają, że z nadmierną masą ciała mierzy się także 23,8% polskich nastolatków, w tym ok. 40% 11-letnich chłopców.

Oprócz polityków opozycji zastrzeżenia wobec nowych przepisów zgłasza część kucharzy, ajentów i dyrektorów placówek oświatowych, którzy dostrzegają trudności związane z ich wdrożeniem. Zdaniem dyrektora jednej z placówek, cytowanego przez portal Medonet, problemem pozostaje brak przygotowania kadry do wdrażania nowych zasad żywienia. Jak zaznacza, nie przeprowadzono powszechnych szkoleń dla personelu stołówek.

– Moje pytanie, kiedy słyszę te lamenty ajentów i szkolnych kucharek, jest takie: to czym karmili dzieci wcześniej? Zdesperowani rodzice siedzący do godz. 16 w pracy wracali do domu z obawą, czy dziecko zjadło w szkole obiad, który najczęściej przypominał fast food z zamrażarki czy był suchą kaszą. Pomijam płacenie za konkretne dania z menu, które potem okazywały się czymś zupełnie innym – ironizuje Anna, mama 11-latka.

Sedno nowych regulacji: mniej cukru i żywności wysoko przetworzonej.

Cytowany dyrektor podkreśla, że kursy przygotowujące do diety planetarnej kosztują 300-400 zł za osobę. Pytanie tylko, czy są w ogóle potrzebne zawodowcom. Ministerstwo Zdrowia umieściło na swojej stronie bezpłatne materiały edukacyjne przygotowane przez Narodowe Centrum Edukacji Żywieniowej.

– Nie chce mi się wierzyć, że potrzebny jest aż kurs, żeby zacząć gotować inne przepisy. Chcesz znać się na kuchni roślinnej, indyjskiej, staropolskiej? Kupujesz odpowiednią książkę kucharską i gotujesz. Teraz zetki liczą kalorie z bezpłatną aplikacją, a my mamy żałować zawodowców, że mają ciężko? – śmieje się Adam, ojciec dwójki uczniów ostatnich klas podstawówki.

W restrykcyjnych wytycznych rodzice widzą przede wszystkim szansę na lepsze posiłki dla dzieci. Część dorosłych ma dość walki z ajentami i niezjedzonych przez dzieci obiadów, z którymi zawsze coś jest nie tak.

– Perspektywa spełniania standardów wykosiła z naszej szkoły rezydenta z kilkunastoletnim stażem, specjalizującego się w suchym makaronie i odmrażanej pizzy co piątek. 17 zł za obiad z samymi kluskami. Aby poradzić sobie z nagłym wakatem, dyrekcja zorganizowała catering spełniający ministerialne standardy. Trochę szkoda, bo mamy jako jedna z niewielu szkół nowo wyremontowaną kuchnię. Z drugiej strony okazało się, że dobry obiad kosztuje teraz 10 zł. Prawie połowę mniej niż do tej pory! – komentuje Robert, ojciec 15-latka.

Rodzice skarżą się na problemy z ajentami. Wśród zarzutów wymieniają m.in. menu niezgodne z opisem, podawanie resztek z poprzedniego dnia i niezrozumiałe podnoszenie cen niemające odzwierciedlenia w jakości.

– W poprzednich latach rada rodziców musiała zorganizować w szkole mediacje między ajentem a rodzicami. W momencie znalezienia ajenta dyrekcja umywa ręce. W końcu to zewnętrzna firma, chociaż działa w szkole. Nikt nie miał wpływu na to, jakie będą dania i ceny. Po kolejnej podwyżce zaczęliśmy zadawać niewygodne pytania o marną jakość produktów. Oprócz ogromnej kłótni nic więcej z tego nie wynikło, bo ajent stanowił sam o sobie. Mógł i tyle. Teraz są przynajmniej określone standardy, których ajenci muszą się trzymać. Ich lamentów nie przyjmuję serio – zarzeka się jedna z matek.

Spór o szkolne obiady pokazuje, jak łatwo kwestie zdrowia publicznego stają się elementem wojny politycznej. Tymczasem nowe regulacje są stosunkowo proste: mniej cukru, mniej żywności wysoko przetworzonej, a więcej odpowiedzialności za to, co trafia na talerze dzieci. Relacje rodziców pokazują, że problemy z jakością szkolnych posiłków były od lat. Dla nich nowe standardy nie są ideologiczną rewolucją, lecz próbą uporządkowania tego, co dotąd często zależało od dobrej woli ajentów. Jeśli przepisy rzeczywiście przełożą się na smaczniejsze i zdrowsze obiady, to uczniowie będą największymi beneficjentami zmian.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Kupujemy święty spokój czy wiedzę?

Nie chcemy oszczędzać na edukacji naszych dzieci



Maciej Belowski

W raporcie „Polska szkoła w liczbach" z 27 sierpnia 2026 r. Główny Urząd Statystyczny podaje, że w roku szkolnym 2025/2026 w placówkach szkolnych kształciło się 5,3 mln uczniów, przed tablicami stało ponad pół miliona pedagogów, a publiczne nakłady na oświatę w 2025 r. sięgnęły 169,1 mld zł.

Te oficjalne dane stanowią jednak część obrazu publicznej edukacji. Tuż obok placówek państwowych wyrasta druga, w pełni sprywatyzowana rzeczywistość – świat korepetycji. Widać to, gdy na początku września rodzice gorączkowo przeglądają portale ogłoszeniowe w poszukiwaniu pomocy dla dzieci.

Rynek ten to bardzo zróżnicowana mozaika: od studentów, którzy biorą 50-60 zł za godzinę lekcji, po wyspecjalizowane platformy i nauczycieli inkasujących za 60 minut powyżej 100 zł.

Opłaty za prywatne lekcje na stałe wpisały się już w domowe budżety. Przy tym w powszechnym przekonaniu, zwłaszcza rodziców, korepetycje to „łatwe pieniądze". Na forach rodzicielskich wylewają się pretensje o windowanie stawek. Po drugiej stronie stoją edukatorzy – zderzający się z nadmiernymi, często nierealistycznymi oczekiwaniami.

Cenny wymiar edukacji pozaszkolnej

Fakt, że prywatne lekcje stały się standardem, potwierdzają dodatkowe statystyki. Według raportu Centrum Badania Opinii Społecznej „Wydatki rodziców na edukację dzieci w roku szkolnym 2025/2026" (Komunikat z badań nr 107/2025) odsetek rodziców dzieci w wieku szkolnym finansujących pozalekcyjne zajęcia edukacyjne lub ogólnorozwojowe był najwyższy w historii tych badań.

W analizach CBOS pojawia się jednak podział. Jeden z rodzajów zajęć stanowi systematyczna nauka języków obcych (np. w prywatnych

eprasa.pl 25e4991eaf

szkołach językowych lub konwersacje z native speakerami), traktowana jako ogólne rozwijanie kompetencji dziecka – za to płaciło w roku szkolnym 2025/2026 aż 48% rodzin. Drugim rodzajem są klasyczne korepetycje oraz kursy przygotowawcze nastawione na egzaminy i nadrabianie szkolnych zaległości – te opłaca 34% rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, co stanowi najwyższy wynik w historii badań CBOS od 1998 r.

Deklaracje zebrane przez CBOS pozwalają obliczyć, że średnie miesięczne wydatki na wszystkie zajęcia dodatkowe (sport, hobby, naukę) wynoszą 944 zł na rodzinę, a w przeliczeniu na jedno dziecko – 675 zł. Finansowy wymiar zjawiska potwierdzają dane uzyskane od Krzysztofa Jedlaka, rzecznika prasowego prezesa GUS. Zestawienia z badania budżetów gospodarstw domowych za 2025 r. pokazują rachunki rodzin płacących za dodatkowe lekcje. W szkołach podstawowych przeciętny wydatek to ponad 249 zł miesięcznie na gospodarstwo domowe, a w szkołach ponadpodstawowych – przeszło 318 zł.

GUS w swoim koszyku cenowym dodatkowo ujmuje korepetycje w sposób rynkowy, dzieląc je na konkretne usługi: korepetycje z matematyki oraz z języka obcego. Zestawienie udostępnione przez rzecznika prezesa GUS (z monitoringu cen artykułów szkolnych „Wyprawka 2026") pokazuje dynamikę opłat za 60 minut zajęć. W czerwcu 2026 r. przeciętna cena godziny korepetycji z matematyki w szkole średniej (działalność zarejestrowana) sięgnęła 109,92 zł (69,95 zł w 2022 r.). W notowaniach pochodzących z wywiadów środowiskowych stawka wzrosła w tych samych latach z 60,27 zł do 85,43 zł. Podobnie rosną ceny lekcji języka obcego: z 72,88 zł w 2022 r. do 108,35 zł w 2026 r. – w przypadku firm i działalności zarejestrowanych.

Korepetycje z obiadem?

Za suchymi liczbami kryją się codzienne ludzkie relacje. O tym, jak w praktyce wyglądają oczekiwania części opiekunów, opowiada Karolina Langs, znana w sieci jako Caro Langs. Prowadzi szkołę językową BLOOM Edukacja Online, a jej profile gromadzą potężną społeczność: na TikToku śledzi ją ponad 178 tys. osób, a na Instagramie ponad 60 tys. To na tych platformach stworzyła serię filmów „Absurdalne wiadomości", w których czyta nadsyłane anonimowo przez inne korepetytorki zrzuty ekranu pochodzące z rozmów z rodzicami i uczniami. Format zrodził się z jej własnych doświadczeń.

Średnie miesięczne wydatki na zajęcia dodatkowe wynoszą 944 zł na rodzinę.

– Zaczynałam na studiach. Byłam bardzo młoda, brakowało mi asertywności i wchodziłam w ten zawód z przekonaniem, że klientowi się nie odmawia – wspomina Karolina Langs. – Szybko zobaczyłam, jak łatwo zaciera się granica między rzetelną nauką a dodatkową opieką. Zdarzało się, że mama wysyłała do mnie ucznia o godz. 13, choć lekcja miała się zacząć o godz. 16 – bo dziecko nudziło się w domu. Pukało do drzwi i pytało, czy dostanie obiad. Zostawało przez trzy godziny, a mama przez telefon kłóciła się, twierdząc, że przecież tak się umawiałyśmy. Dla części osób korepetytor staje się kimś w rodzaju niani.

W nadsyłanych do Caro Langs wiadomościach powtarzają się prośby o darmowe odwożenie dzieci samochodem, bo rodzicowi trudno zaparkować pod blokiem. Odmowa wywołuje zarzut braku profesjonalizmu. W innej wiadomości matka uczennicy po rozwiązaniu współpracy zarzuciła lektorce zawiść – twierdziła, że rezygnacja z prowadzenia zajęć to zemsta za wyjazd rodzinny na wakacje all inclusive, choć rzeczywistym powodem było notoryczne odwoływanie spotkań. Zdarzały się też żądania „pakietu", np. oczekiwanie, że korepetytorka od angielskiego w ramach tej samej opłaty przygotuje córkę do poprawki z polskiego.

– Korepetycje nie są lekiem na brak zaangażowania uczniów – zaznacza Karolina. – Nie da się kupić dobrych ocen jak towaru z półki. Są rodzice pytający wprost o korepetytora z „dojściem do testów" – jakbyśmy zdobywali arkusze ze szkół. Znam też sytuacje, gdy rodzice miesiącami przekazywali dzieciom pieniądze na lekcje, wierząc, że pociechy w korepetycjach uczestniczą, a one w ogóle na zajęcia nie docierały.

Karolina Langs podkreśla jednak, że te przypadki to tylko wycinek rzeczywistości. Większość jej obecnych uczniów to osoby zmotywowane, a relacje z rodzicami układają się partnersko. Jeśli o nią chodzi, kluczem okazało się wprowadzenie jasnego regulaminu określającego zasady odwoływania lekcji i płatności.

Kogo stać, ten ma korepetycje

Kiedy zaczyna się dyskusja o stawkach, na forach pojawiają się negatywne komentarze. Karolina Langs przytacza wpis spod swojego filmu: „80 zł za godzinę? Za co? Projektujecie rakietę w kosmos, która poleci? Państwo powinno się wziąć za tych korepetytorów, to zwykłe złodziejstwo".

– Wokół tej pracy narosło sporo mitów – dodaje korepetytorka. – Wiele osób nie ma pojęcia o działalności nierejestrowanej. Każdego, kto nie ma kasy fiskalnej, wrzuca się do worka „praca na czarno". Tymczasem większość korepetytorów mieści się w limitach przychodów i nie musi rejestrować firmy. Lub, gdy ją ma, rozlicza się fakturami.

Kolejna kwestia to czas pracy, który rzadko zamyka się w 60 minutach. – Widząc stawkę 100 zł, rodzice zakładają, że to zapłata za godzinę, a w rzeczywistości to przecież nierzadko opłata za ponad dwie godziny wysiłku – wyjaśnia Karolina. – Wiele czasu pochłania sprawdzanie prac. Rozprawka do egzaminu Cambridge liczy 500 słów. Żeby ją rzetelnie sprawdzić, nanieść poprawki i zaproponować lepsze konstrukcje, potrzeba często pełnej godziny pracy

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 25e4991eaf

poza lekcją. Do tego dochodzi koszt własnego rozwoju – specjalistyczny kurs certyfikacyjny, w którym uczestniczę, to wydatek 14 tys. zł. O tym w dyskusjach mało kto pamięta.

Z jakimi problemami zmagają się współcześni uczniowie? Mają coraz większy kłopot ze składaniem spójnych wypowiedzi argumentacyjnych czy z interpretacją metafor. Przebodźcowany nastolatek nie nabywa tych kompetencji w 20-osobowej klasie. Na ten problem zwraca uwagę Aneta Korycińska, polonistka prowadząca popularny profil „Baba od polskiego", obserwowany na Instagramie przez ponad 69 tys. osób.

– Podczas korepetycji skupiamy się na niewiedzy ucznia, na wyszukiwaniu braków oraz ćwiczymy rozumienie tekstu akapit po akapicie. Młody człowiek musi opowiedzieć własnymi słowami, co przeczytał – mówi polonistka. – To nauka wolniejsza i dokładniejsza niż w szkole, bo nie goni mnie podstawa programowa. Zamiast odpytywać, szukam luk, o których w grupie uczniowie wolą milczeć. W klasie nie da się wychwycić problemów każdego nastolatka w 45 minut.

Opinia publiczna postrzega korzystanie z korepetycji trochę jak styl życia klasy średniej i kupowanie przez rodziców świętego spokoju. A jak to widzi Aneta Korycińska? – Moich rodziców nigdy nie było stać na korepetycje, nawet o nich nie myślałam. Sama poszukiwałam informacji, co nie znaczy, że w szkole mogłam uzyskać pomoc związaną z tym, czego nie udało mi się zrozumieć. Jeśli pytamy kilka razy i nadal nie rozumiemy, przede wszystkim wstyd nam się przyznać do niewiedzy. Rodzice kupują zatem pewność, że ich dziecko ma zapewnioną opiekę na wielu płaszczyznach, a dodatkowo zdążą wrócić z pracy do domu i wiedzą, co ich dziecko robiło i gdzie było. Czy to jest styl życia klasy średniej? Być może. Według wielu badań jest jedna rzecz, na której nie chcemy oszczędzać – edukacja naszych dzieci. Kogo stać, ten ma korepetycje.

W szkole błąd oznacza jedynkę i wstyd. Praca nad nastawieniem ucznia to klucz do sukcesu. – Najważniejsze zadanie to sprawić, by uczeń uwierzył, że nauka jest dla niego dostępna i może być przyjemnością. Na zajęciach zwracamy się do siebie po imieniu, nie stawiam ocen. Dyskutujemy i głośno myślimy, co uczy samodzielności – podsumowuje korepetytorka.

Perspektywa studencka

Inną perspektywę przedstawiają studenci, dla których dawanie korepetycji to często trampolina do niezależności finansowej, dzięki której mogą także budować doświadczenie. Doskonale ilustruje to przykład Norberta, studiującego matematykę w Warszawie, a uczącego od trzech lat. Zaczynał w liceum w Łodzi, pomagając za darmo rówieśnikom, po to by sprawdzić swój warsztat. Na studiach zajął się tym zawodowo. Dziś prowadzi kilkunastu uczniów ze stawką średnio 100 zł za godzinę. Początki wymagały jednak cierpliwości.

– Zaczynałem na platformie dla korepetytorów. Dzieliliśmy się po połowie: dostawałem 50 zł i 50 zł brała szkoła – wspomina Norbert. – Jeździłem do domów, czasem po 50 minut w jedną stronę. Dziś pracuję na własny rachunek i cała stawka zostaje u mnie.

Norbert przypomina, że oprócz zajęć dodatkowych kluczowa jest relacja rodzic-dziecko. – Wyjaśniam rodzicom problem dziecka i to, nad czym trzeba pracować. Później to weryfikuję. Pytam mamę: „I co, powtarzała pani materiał z synem?". Jeżeli słyszę, że nie było na to czasu, odpowiadam: „Aha, to dziękuję serdecznie za pomoc". Bo nauka to również praca własna w domu i wsparcie rodzica. Korepetycje mają także uczyć samodzielności, bo w liceum nikt za ucznia notatek robić nie będzie.

Nie wszyscy jednak patrzą na korepetycje przez pryzmat jak największej liczby podopiecznych i stałej pracy. Część studentów wchodzi do świata korepetycji z czystej ciekawości – chcąc spróbować swoich sił w elastycznej pracy dorywczej, która pozwala spiąć domowy budżet. Mówi o tym Ania, studentka dziennikarstwa, od pierwszego roku ucząca angielskiego. W ogłoszeniach przekonuje do siebie wysokimi wynikami z matury i doświadczeniem zdobytym na wyjazdach zagranicznych programu Erasmus, które dały jej swobodę w przełamywaniu bariery językowej.

– Na studiach to wygodna forma dorobienia – przyznaje Ania. – Sama decyduję o grafiku. Jak mam trudniejszy tydzień na uczelni, mogę przełożyć zajęcia. To działa w obie strony: uczeń też potrafi odwołać lekcję w ostatniej chwili i wtedy zaplanowany dochód przepada. Zaczynałam od dwóch osób, na drugim roku miałam cztery, obecnie wróciłam do uczenia dwóch maturzystek.

Podejście Ani do wyceny pokazuje realia studenckich stawek. – W zeszłym roku brałam 50 zł, w tym podnoszę kwotę do 60 zł. W Warszawie to niewiele. Nie mam dyplomu filologa, więc trzymam się dolnych widełek. Przy dwóch uczennicach mam 120 zł tygodniowo – dla studentki to konkretny zastrzyk gotówki – zaznacza.

Doświadczenia korepetytorów i korepetytorek w zderzeniu ze statystykami pokazują, że prywatne lekcje są stałym elementem systemu oświaty. Spotykają się tu trzy strony: rodzice ponoszący coraz wyższe koszty, korepetytorzy starający się rzetelnie uczyć oraz uczniowie, którzy potrzebują pomocy.

Rozwiązaniem licznych problemów okazuje się twarde stawianie granic. Spisane regulaminy, zasady odwoływania zajęć i partnerski model współpracy to kilka sposobów na uniknięcie niepotrzebnych nieporozumień. Bez zrozumienia przez każdą ze stron, że edukacja wymaga zaangażowania w gronie uczeń-rodzic-nauczyciel, prywatne lekcje pozostaną przestrzenią cichej frustracji, w której cena rzadko idzie w parze ze spokojem.

Maciej Belowski

Prywatne lekcje są stałym elementem systemu oświaty.

eprasa.pl 25e4991eaf

MYSŁOWICE miasto zamachów

Jeden prezydent nie żyje, drugi trafił do szpitala, aktualny ogłosił, że próbowano go zabić



Ktoś poluzował koła w samochodzie Dariusza Wójtowicza. Kto? Prezydent Mysłowic nie wie, ale chyba się domyśla.



Wielu nie wierzy, że Stanisław Padlewski popełnił samobójstwo. Znajomi podkreślali jego doświadczenie polityczne i silną psychikę.

Mateusz Cieślak

Obecny prezydent Mysłowic nie jest pierwszym włodarzem tego miasta, który twierdzi, że usiłowano dokonać zamachu na jego życie. A znając historię polityczną grodu legendarnego Mysława, należy sądzić, że nie jest też ostatnim.

– Ktoś próbował mnie zabić. To nie żart – oznajmił Dariusz Wójtowicz. A ponieważ dziś nie istnieje nic, czego nie ma w mediach społecznościowych, o próbie zamachu na swoje życie opowiedział przed kamerą, następnie nagranie oświadczenia opublikowano w społecznościówkach.

Wstrząśnięci Mysłowiczanie dowiedzieli się, że ktoś poluzował koła w samochodzie ich prezydenta. Kto? Prezydent nie wie, ale chyba się domyśla. Mówił, że wcześniej mu grożono. Słyszał wyzwiska. Ktoś miał go szantażować i nachodzić. I to nie tylko jego, lecz również bliskie mu osoby, w tym partnerkę.

– Ktoś, kto dobrze wiedział, że jadę w dalszą trasę, poluzował śruby w kołach mojego samochodu i gdyby nie fakt, że jeżdżę bardzo ostrożnie, mogłoby dojść do tragedii – podkreślił Wójtowicz.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że czując coś niepokojącego, Wójtowicz podjechał na stację diagnostyczną. Tam okazało się, że poluzowane zostały śruby w trzech kołach w jego samochodzie. Prezydent Mysłowic zgłosił się na policję i złożył stosowne zawiadomienie o przestępstwie.

Na ile wiarygodna jest ta historia? Na razie nie wiadomo. Wójtowicz nie ujawnił bliższych szczegółów. Tłumaczył to dobrem prowadzonego postępowania. Z pewnością sprawy tej lekceważyć nie wolno.

Kilka dni wcześniej ktoś poluzował śruby w tylnych kołach prywatnego samochodu prezydent Gdyni Aleksandry Kosiorek. Podczas jazdy jedno z tych kół odpadło. Autem jechali wówczas jej mąż i trójka dzieci.

eprasa.pl 25e4991eaf

Na szczęście nikomu nic się nie stało. Pani prezydent też otrzymywała pogróżki.

W czerwcu ktoś przebił opony w samochodzie Marcina Gołka, wiceprezydenta Poznania. Zdarzyło się to aż dwukrotnie, w dwóch różnych miejscach. Oba te przypadki zostały zgłoszone na policję. Ze względu na charakter uszkodzeń pewne jest, że działanie było celowe. Śledztwo trwa.

Zabity czy zaszczuty

Mysłowice to dziwne miasto. Ich pierwszy prezydent wybrany w wyborach powszechnych, Stanisław Padlewski, zginął w tajemniczych okolicznościach zaledwie 10 dni po zaprzysiężeniu. Trzeba było ogłosić przedterminowe wybory. Kolejny prezydent Mysłowic, Grzegorz Osyra, został zraniony nożem. Zdarzyło się to jeszcze podczas kampanii wyborczej, gdy Osyra był pełniącym obowiązki prezydentem miasta.

Do dziś nie jest jasne, co się kryło za śmiercią Stanisława Padlewskiego. Oficjalnie przyjęto, że popełnił samobójstwo. Miał wyjść na balkon i skoczyć z 10. piętra. Była noc, a może bardzo wczesny listopadowy poranek. Skoku i upadku nikt nie widział. Alarm wszczęła dopiero rano żona. Na biurku leżało przemówienie, które prezydent pisał z okazji Dnia Górnika. Nazajutrz miała być sesja.

Prokuratura postawiła Grzegorzowi Osyrze dwa zarzuty: zawiadomienia policji o przestępstwie, którego nie było, i złożenia fałszywych zeznań.



Nowy prezydent jeszcze nie zdążył złożyć ślubowania, a już zaczęto go atakować. Oskarżono go o to, że zamierza pozdejmować krzyże wiszące w mysłowickim magistracie. Warto więc wspomnieć, że celebrujący mszę żałobną ksiądz tak mówił o nieżyjącym prezydencie: „Stojąc dziś wobec śmierci człowieka, który mówił o sobie, że w Boga nie wierzy, a jednocześnie w swym życiu potrafił uszanować wiarę drugiego człowieka – to mówię na podstawie własnych doświadczeń – i tak bardzo zatroskany był o wspólne dobro, zadajemy sobie pytanie, cóż mogło się stać wielkiego, że trzeba było tak drastycznie zakończyć swe życie".

Wielu do dziś nie wierzy, że Stanisław Padlewski popełnił samobójstwo. Ci, którzy go znali, podkreślali jego doświadczenie polityczne i silną psychikę. Na wyobraźnię działało to, że przecież zginął jako świeżo upieczony zwycięzca. Dopiero co objął urząd. No i przygotowywał się do wystąpienia na sesji rady miasta. Nic z tego nie pasowało do tezy o samobójstwie.

Stanisław Padlewski, pierwszy prezydent Mysłowic wybrany w wyborach powszechnych, zginął w tajemniczych okolicznościach 10 dni po zaprzysiężeniu.

Padlewski został prezydentem w listopadzie 2002 r. Przed zmianą ustroju należał do PZPR. O stanowisko prezydenta miasta ubiegał się jako kandydat SLD. Dla lewicy to były dobre czasy. Także w Mysłowicach. SLD miał najwięcej mandatów w radzie miasta, no i swojego prezydenta. Padlewski wygrał co prawda w drugiej turze, ale dosyć wyraźnie. Uzyskał 52% głosów. Jego przeciwnik, którym był poprzedni prezydent, otrzymał 47,5% głosów.

Zamach czy mistyfikacja

Po śmierci Stanisława Padlewskiego jego obowiązki przejął wiceprezydent Grzegorz Osyra. W Mysłowicach rozpisano nowe wybory. Wiceprezydent wystartował w nich jako kandydat popierany przez SLD. Kilka dni przed głosowaniem gruchnęła wieść, że ktoś usiłował go zabić.

Lokalna prasa relacjonowała: „Osyrę zaatakował nieznany sprawca lub sprawcy – dotychczas ani policja, ani prokuratura nie ustaliła, ilu było napastników. Został przewrócony i zraniony nożem w okolice serca. Przeszedł zabieg operacyjny w szpitalu". Cytowano szefa miejscowej prokuratury: „Mogę tylko powiedzieć, że wszczęliśmy sprawę o usiłowanie zabójstwa i napaść na funkcjonariusza publicznego".

Dzień po zranieniu Osyry, czyli 23 stycznia 2003 r., poseł Marian Stępień skierował do ministra sprawiedliwości zapytanie, w którym stwierdzał: „Jeden lewicowiec, który został prezydentem Mysłowic, zginął tragicznie, a drugi, który ubiega się o ten urząd, zostaje ranny podczas próby zamordowania go. To są fakty budzące największy niepokój już nie tylko o stan bezpieczeństwa, ale wręcz o dalsze losy demokracji w naszym kraju. Panie ministrze, jako poseł wybrany m.in. w Mysłowicach mam kontakty z tamtejszymi mieszkańcami. Są oni zszokowani, przerażeni. Mówią, że wybory prezydenta Mysłowic zaczynają przypominać to, co podczas wyborów działo się na Haiti czy Dominikanie".

Poseł domagał się od ministra odpowiedzi na pytanie, czy Prokuratura Krajowa obejmie swoim nadzorem

FOT. PIOTR BŁAWICKI/SE/EAST NEWS, TOMASZ KAWKA/EAST NEWS, FACEBOOK

eprasa.pl 25e4991eaf

śledztwa prowadzone w obu wymienionych przez niego sprawach. Nie wiadomo, czy tak się stało. Wiadomo natomiast, że śledztwo w sprawie śmierci Padlewskiego umorzono już po pół roku. Przyjęto, że skoczył z balkonu. To dziwne, zważywszy na okoliczności tej śmierci. Czy ktoś, kto siada przy biurku, by napisać przemówienie na następny dzień, rozmyśla o samobójstwie? A gdyby nawet tak było, to należało sprawdzić, czy ktoś do takiej decyzji się nie przyczynił.

Śledztwo w sprawie zamachu na Grzegorza Osyrę również błyskawicznie umorzono – już po pięciu miesiącach. Ale w 2007 r. podjęto je na nowo. Osyra bowiem zwolnił sekretarza urzędu miejskiego. Wtedy ten pojechał do Warszawy, poszedł do CBA i powiedział, że Osyra ukartował zamach na siebie. Ranę miał zadać znajomy Osyry, chirurg. Chodziło o to, by zdobyć współczucie wyborców i wygrać.

Prokuratura przyjęła, że chirurg użył skalpela lub noża do cięcia tapet. Dla niepoznaki przeciął marynarkę i koszulę Osyry, a następnie go zranił. Akt oskarżenia zawiera frapujące dywagacje o tym, co miało dziać się potem. Otóż Osyra z tą raną chodził po mieście. Ranny dotarł do urzędu miejskiego. Wszedł po schodach na pierwsze piętro i zajrzał do swojego gabinetu (decyzją premiera do czasu wyborów wykonywał obowiązki prezydenta miasta). Spakował się i wyszedł z urzędu. Stanął przed głównym wejściem. Postał tam dłuższą chwilę. Następnie wszedł do restauracji Ratuszowej, znajdującej się w tym samym budynku. Zajrzał do toalety. Wyszedł z restauracji. Usiadł na schodach i dopiero wtedy zaczął wzywać pomocy. Przewieziono go do szpitala.

Przypadek lekkiego obrażenia ciała

Przez długi czas prasa rozpisywała się o prezydencie, który, by zdobyć władzę, dokonał zamachu na samego siebie. Według części artykułów i relacji Osyra się pobił. Według innych ugodził siebie samego nożem. Przez cały czas jego prezydentury tropili go prawicowi dziennikarze, szukając czegokolwiek, do czego można by się przyczepić. Sprawdzali np., czy urzędując w swoim gabinecie, nie popija mocniejszych trunków.

Prokuratura postawiła Osyrze dwa zarzuty: zawiadomienia policji o przestępstwie, którego nie było, i złożenia fałszywych zeznań. Śledztwo w sprawie zamachu na jego życie umorzono. Zabawnie brzmi sentencja postanowienia o umorzeniu: „Czyn ten [zranienie] nie zawiera znamion czynu zabronionego". Sąd Okręgowy w Katowicach uznał racje prokuratury. Podtrzymując decyzję o umorzeniu, stwierdził: „Rana zadana Grzegorzowi Osyrze stanowi przypadek lekkiego obrażenia ciała. Tym samym czyn ten nie zawiera znamion czynu zabronionego".

Sąd Rejonowy w Sosnowcu skazał Osyrę, tak jak życzyła sobie tego prokuratura. Osyra się odwołał, a Sąd Okręgowy w Katowicach skierował sprawę do ponownego rozpoznania – trzyosobowy skład sędziowski przyczepił się do pracy biegłego, powołanego przez prokuraturę. To na podstawie jego opinii uznano, że Osyry nikt nie zaatakował. Sędziowie zauważyli też, że do rewelacji przedstawianych przez byłego sekretarza miasta należało podejść ze sporą ostrożnością. Mógł przecież kierować się chęcią odwetu.

W pewnym momencie na policję przyszedł niejaki Lucjan L. Oświadczył, że wie o zleceniu na życie Osyry. Powiedział policjantom, kto miał taki zamach zlecić i kto go miał wykonać. Następnie oznajmił, że domaga się 1 tys. zł, gdyż takie poniósł koszty, żeby zdobyć tę wiedzę. Jeśli pieniędzy nie dostanie, niczego nie zezna. Policjanci sporządzili stosowną notatkę, ale pieniędzy mu nie dali, więc niczego nie zeznał.

Sprawa zamachu Osyry na samego siebie trafiła ponownie do Sądu Rejonowego w Sosnowcu. Tym razem rozpatrywała ją żona Bogdana Święczkowskiego, byłego szefa ABW, byłego prokuratora krajowego, a dziś prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Nie przesłuchała Lucjana L. Nie mogła również przesłuchać chirurga, gdyż ten zmarł. Wyrok wydała w 2012 r. Skazała Osyrę na rok więzienia w zawieszeniu za zawiadomienie o przestępstwie, którego miało nie być.

Mateusz Cieślak

Śledztwo w sprawie zamachu na Grzegorza Osyrę błyskawicznie umorzono – już po pięciu miesiącach.



eprasa.pl 25e4991eaf

Europa przestaje wierzyć w siebie

Coraz gorzej oceniamy przywódców i przyszłość kontynentu

Mateusz Mazzini

Ze wszystkich możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji w Europie upadek – napędzany rozpychającym się, agresywnym nacjonalizmem, industrializacją wykorzystaną do celów wojskowych, rosnącymi nierównościami społecznymi i obawą o utratę statusu superpotęgi – jest chyba najłatwiejszy do wyobrażenia. Głównie dlatego, że już dwa razy mieszkańcy kontynentu w tym filmie występowali, nawet jeśli nigdy wcześniej jego dialogi nie były pisane na platformach internetowych przez armię botów.

W praktyce niewiele to zmienia, bo wystarczy sięgnąć po jakiekolwiek fundamentalne dzieło europejskiej kultury wysokiej XX w., żeby znaleźć w nim echa samozagłady Starego Kontynentu. I jeśli rzeczywiście my, Europejczycy, jesteśmy w czymś liderami na skalę światową, to w byciu prorokami własnej apokalipsy.

Apatia rośnie

W „Czarodziejskiej górze" Tomasz Mann opisał zapatrzonych w siebie mieszczan, których świat rozpadał się u progu I wojny światowej. Im bardziej rozwijała się technologia wojskowa, skracał obieg informacji, a małe kraje destabilizowały dawne imperia międzykontynentalne, tym silniejszy był mechanizm wyparcia – pełne samozadowolenia elity żyły w przekonaniu, że jakoś to będzie, bo jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było.

Pierwszy akt europejskiej autoagresji, czyli Wielka Wojna lat 1914-1918, nie przyniósł szczególnej refleksji, bo tutejsze narody wkrótce wróciły do okopów. Na wielką skalę, na co pozwalała im skuteczniejsza, starsza o te dwie dekady technologia. Problemy społeczne, które doprowadziły do wybuchu I wojny, zostały zlekceważone przez rodzące się europejskie demokracje, a elity handlowe i intelektualne, przekonane o swoim uczestnictwie w najwyższej możliwej formie rozwoju cywilizacyjnego, uważały, że przecież „system wytrzyma". Wielokrotnie pisała o tym prof. Margaret MacMillan. Ta wybitna kanadyjska historyczka przypomina, jak elity biznesowe Weimaru popierały Hitlera w 1933 r., przekonane, że uda im się wykorzystać go do własnych celów. Koniec tego eksperymentu znają wszyscy.

Najnowsze badanie sondażowe („Nostalgia za przyszłością: niedokończona pieśń Europy") przeprowadzone przez Europejską Radę Spraw Zagranicznych (ECFR) i Europejską Fundację Kultury (ECF) pokazało, jak przeraźliwie apatyczne są nastroje w społeczeństwach europejskich. Sondaż oparty na ponad 5,8 tys. pogłębionych rozmów z obywatelami sześciu krajów: Francji, Niemiec, Włoch, Holandii, Polski i Wielkiej Brytanii, poszerzonych o analizę jakościową debat publicznych z 15 europejskich państw, ujawnił potężny spadek zaufania Europejczyków do liderów politycznych. A także przekonanie, że choć kontynent ma zasoby, aby poradzić sobie z egzystencjalnymi wyzwaniami dla jego przyszłości, sprawy nie idą w dobrym kierunku.

Według aż 56% badanych przyszłość Europy jest „zagrożona".

Joseph Roth, Stefan Zweig, Hannah Arendt, Pier Paolo Pasolini oraz dziesiątki innych twórców i twórczyń powtarzali te same wnioski. W czasach nowszych przeszły one z literatury czy sztuki do nauk politycznych i publicystyki. Najwięźlej ujął je brytyjski historyk z Oksfordu, prof. Timothy Garton Ash. W ubiegłorocznej rozmowie z Gideonem Rachmanem z „Financial Timesa" stwierdził, że jeśli „w Europie mamy zbyt wiele integracji, zaczynamy się przeciw niej buntować. Jeśli mamy jej jednak za mało, prędzej czy później mordujemy się na masową skalę".

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że w powojenny europejski projekt polityczny, czyli Unię Europejską opartą na równowadze pomiędzy państwami narodowymi i ciałami działającymi dla dobra całego kontynentu, przestają wierzyć nawet sami Europejczycy.

Aż 68% respondentów stwierdziło, że odczuwa pogorszenie jakości życia lub ogólne odejście od normalności na kontynencie. Postęp dostrzega tylko 12%. Jeszcze bardziej depresyjny obraz wyłonił się z odpowiedzi na kolejne pytanie – o przyszłość kontynentu. 74% jego mieszkańców uznaje, że europejscy przywódcy nie radzą sobie z problemami, przed którymi stoi Wspólnota, takimi jak ryzyko wojny konwencjonalnej z Rosją, presja gospodarcza ze strony innych krajów, a także kwestie bezpieczeństwa publicznego. Według aż 56% badanych przyszłość Europy jest obecnie „zagrożona".

Migracja maleje

Przy pierwszym czytaniu takie wyniki rzeczywiście mogą martwić, ale

eprasa.pl 25e4991eaf



Rośnie przekonanie o rozdźwięku między tym, co deklarują Ursula von der Leyen i inni eurokraci, a tym, co Unia rzeczywiście robi. Nz. wizyta szefowej Komisji Europejskiej we Francji.

po wpisaniu ich w szerszy kontekst stają się nie tyle mniej alarmujące, ile po prostu trzeźwe. Wprawdzie w komentarzu do badania jego autorzy, wraz z głównym ekspertem ds. badań i metodologii ECFR dr. Pawłem Zerką, wskazują niebezpieczną „lukę wyobrażeniową" – zjawisko polegające na tym, że wyborcy dostrzegają potencjał do zmian, ale są przekonani, że obecne przywództwo polityczne raczej marnuje czas, niż realnie tymi zmianami się zajmuje. To jednak tylko część obrazu. Już w samych wynikach sondażu można znaleźć sygnał pozytywny, wystarczy nie patrzeć na polityków.

Od dekad jednym z największych wyzwań stojących przed UE jest problem braku własnego społeczeństwa. Niejeden europejski mąż stanu fantazjował o takim społeczeństwie i próbował stworzyć coś na kształt ogólnokontynentalnego demos (które to pojęcie pojawiało się zresztą już u Zweiga czy Rotha). Bez niego projekt polityczny Wspólnoty był niekompletny, bo po przyjęciu traktatu z Maastricht w 1992 r. Unia zaczynała się zachowywać coraz bardziej jak państwo, a ono przecież bez identyfikującej się z nim ludności nie może istnieć.

Debaty o tym, co nas w Unii łączy i co łączyć powinno, były z reguły jałowe, bo mimo wszystko dla zdecydowanej większości obywateli podstawową tożsamością był związek z własnym państwem. Jeśli jednak mamy do czynienia z sytuacją, w której aż trzy czwarte badanych, w dość różnych częściach Europy, wylicza te same problemy i diagnozuje ich intensywność na tym samym poziomie – egzystencjalnym – oznacza to pewien przełom.

Za wcześnie pewnie, by otrąbić odnalezienie Świętego Graala integracji europejskiej, czyli powstanie owego demos unijnego, ale jakaś zmiana kulturowa tu się dokonała. Być może wynika ona, jak w dawnych czasach, z synergii priorytetów państw narodowych i Unii jako takiej, co samo w sobie nie byłoby problemem.

Bułgarski politolog Ivan Krastev, jeden z najpopularniejszych europejskich myślicieli, zawsze podkreśla niekonkurencyjność pojedynczych krajów Europy na światowej scenie, głównie z powodu ich niewielkich rozmiarów i braku zasobów naturalnych. Jasne jest, że Bułgaria, Grecja czy Łotwa nie poradzą sobie z chińską nadprodukcją przemysłową czy amerykańskim kolonializmem cyfrowym. Razem, czyli wewnątrz silnej i skoordynowanej Unii, miałyby jakieś szanse. Jeśli więc faktycznie obywatele dostrzegają ten problem, diagnozują rzeczywistość lepiej niż ich reprezentanci polityczni.

Co więcej, ważna jest relatywna zbieżność wskazywanych tu zagrożeń. Z polskiego punktu widzenia to akurat bardzo istotne, że Francuzi

Aż 68% respondentów odczuwa pogorszenie jakości życia.

FOT. EU/CHRISTOPHE LICOPPE

eprasa.pl 25e4991eaf

i Niemcy z takim samym lękiem spoglądają na wschód, pod wpływem coraz bardziej agresywnego rosyjskiego imperializmu. Oznacza to, że najprawdopodobniej te społeczeństwa jeszcze przez jakiś czas będą w stanie akceptować zwiększone wydatki na obronność, co dla przetrwania Europy w sensie ścisłym będzie kluczowe.

Równie ważne, ale też wcale niespecjalnie zaskakujące, jest to, że w zestawieniu brakuje „masowej imigracji" jako zagrożenia dla kontynentu. Ten „masowy napływ" to kolejna bańka, którą warto przebić, bo wszyscy żyjemy w imaginarium symbolicznym wytworzonym przez skrajną prawicę.

Chadecy, socjaldemokraci czy socjaliści nie są w stanie zaoferować przekonującej wizji przyszłości.

Po pierwsze, co regularnie podkreśla austriacki ekspert Gerald Knaus, założyciel European Stability Initiative (ESI), żadna masowa migracja z innych kontynentów do Europy nie ma w tej chwili miejsca, i to od kilku lat. Liczby nielegalnych przekroczeń granic maleją – kilkadziesiąt tysięcy rocznie na konkretnych szlakach. Lawinowo spada liczba ubiegających się o azyl i ochronę prawną (o 17% rok do roku dla całej UE, jak pisze Politico).

Po drugie, w badaniach opinii publicznej przeprowadzanych przez Eurobarometr migracja dawno spadła na czwarte, czasami nawet piąte miejsce w rankingu europejskich lęków. Królują cały czas obawa przed wojną, wysokie koszty życia i ceny energii. Dla europejskich społeczeństw i gospodarek w tej chwili to są podstawowe wyzwania, a nie rzekome hordy obcych stojące u naszych bram.

Największym zaś wyzwaniem, z którym trudno będzie sobie poradzić w krótkim okresie, jest polityczny marazm Europejczyków. Coraz mniej wierzą w swoich przywódców i trudno im się dziwić. W komentarzu do badania analitycy ECFR przytaczają rozmowy, w których respondenci nie byli w stanie wymienić ani jednego działania czy wydarzenia z ostatnich miesięcy „pokazującego, że Unia zachowała się właściwie".

Co więcej, rośnie przekonanie o unijnej hipokryzji, czyli rozdźwięku między tym, co deklarują Ursula von der Leyen, António Costa i inni eurokraci, a tym, co Unia rzeczywiście robi. Tu też trudno się dziwić, skoro tak wyraźny jest brak jej sprawczości. Z jednej strony, Wspólnota opiera się na prawach człowieka, z drugiej – nie umie potępić zbrodni wojennych Izraela w Gazie, a teraz wręcz zacieśnia współpracę, kupując izraelskie systemy antyrakietowe. Skapitulowała również przed celnym i handlowym szantażem administracji Donalda Trumpa, podczas gdy teoretycznie ma „handlową bazookę" w postaci instrumentu antyprzymusowego, chroniącego europejskie gospodarki przed presją zewnętrzną. Zbroimy się przed wojną, zarazem wciąż tolerujemy rosyjskich propagandzistów, którzy destabilizują nasze demokracje.

Listę taką można tworzyć długo, w każdym kraju wyborcy dopiszą do niej własne żale i frustracje. Brak zaufania i wiary w to, że obecna klasa polityczna, zwłaszcza związana z liberalnym centrum, lewicą i zbierającą cięgi w kolejnych wyborach chadecją, jest jeszcze w stanie ochronić Europę przed potrójnym, chińsko-amerykańsko-rosyjskim zagrożeniem, sam w sobie jest szalenie niebezpieczny – bo napędza poparcie dla sił zdecydowanie antyeuropejskich.

Zwykła godna egzystencja

W ostatnich dniach progresywny komentariat otrząsał się z szoku, jakim było zwycięstwo AfD w Saksonii-Anhalt z wynikiem ponad 43%. Tyle że ten wynik był do przewidzenia i został po części napędzony skrajnie słabą, nudną i pustą ideowo ofertą starych, dużych partii. Nazywając rzeczy po imieniu, zwłaszcza partie osiowe dla powojennych europejskich demokracji – chadecy, socjaldemokraci i socjaliści – nie są już w stanie zaoferować przekonującej wizji przyszłości, w której Europejczyków czekałoby dobre życie. Daron Acemoğlu, noblista z ekonomii i jeden z najważniejszych obrońców liberalnej demokracji, zwykł mawiać, że potrzebuje ona nowej *governing ideology*, czyli ideologii zarządczej, dającej ducha instytucjom. Można to definiować w kategoriach ideologicznych, ale można także mówić o zwykłym godnym życiu. Nie ma to większego znaczenia, bo CDU/CSU, torysi, laburzyści, PSOE, SPD i inne wielkie partie mają z tym ogromny problem.

W rezultacie wielu wyborców, wcale nie zradykalizowanych, prorosyjskich czy ksenofobicznych, przy urnie popiera ugrupowania antysystemowe. Z ust polityków AfD można usłyszeć, jak Niemcy będą wyglądać za pięć czy dziesięć lat. Odpowiedzi na takie pytanie nie doczekał się od Friedricha Merza – ani od Donalda Tuska – chyba żaden dziennikarz. O ile podobne pytania w ogóle jeszcze padają.

Europa nie ma już w ogóle czasu. Rosjanie intensyfikują działania sabotażowe, niemieccy ministrowie federalni mówią o otwartej wojnie z Moskwą. Chiny w ciągu kilku lat zdominują nowe technologie, Amerykanie pod wodzą Trumpa weszli na ścieżkę korporacyjnego autorytaryzmu, z której bardzo trudno będzie zejść. Dlatego potrzeba nam wszystkim diagnozy politycznej miejsca, w którym jesteśmy.

Nathalie Tocci, szefowa Włoskiego Instytutu Spraw Zagranicznych, grzmiała w grudniu ub.r. na konferencji fundacji Erste Banku w Wiedniu, że Europa powinna być „bardziej jak Lula i Claudia Sheinbaum", cytując przypadki skutecznego sprzeciwu wobec Trumpa. Oznaczałoby to, że my, Europejczycy, pępek świata od milenium, musielibyśmy być „bardziej jak" Meksykanie i Brazylijczycy. Nic nie wskazuje na to, żebyśmy byli gotowi do takiego skoku mentalnego. A musimy go wykonać. Alternatywą jest katastrofa.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 25e4991eaf

Z Galicji



Jan Widacki

Literaci do pisania! Studenci do nauki! Syjoniści do Syjamu!

Bertrand Russell twierdził, że historia ostatnich 200 lat przekonuje, iż liberalni demokraci zawsze ostatecznie zwyciężali w długich nieraz konfliktach z autorytarnymi fanatykami. Zwyciężali głównie dlatego, że stawiali na naukę i jej ustalenia, podczas gdy ci drudzy naukę lekceważyli, stawiali na ideologię i próbowali zrealizować nierealne, wynikające z ideologii cele. Te niepowodzenia w realizacji nierealnych celów powodowały, że uwiedzione przez demagogicznych fanatyków masy odwracały się od nich i nieraz same się z nimi rozprawiały.

Nie jestem pewien, czy tak do końca to prawda, ale jedno jest pewne. Autorytarni fanatycy lekceważą naukę, a ściślej część nauki. Lekceważąc nauki społeczne i humanistyczne, wspierają nauki techniczne i ścisłe, bo zwłaszcza te pierwsze dostarczają im narzędzi sprawowania władzy. Zacofana i biedna Korea Północna rządzona przez dynastię Kimów potrafi skonstruować rakiety dalekiego zasięgu i realizować program nuklearny, co niewątpliwie wymaga ogromnego zaplecza naukowego. To samo putinowska, a wcześniej radziecka Rosja.

Z humanistyką zarówno w Rosji, jak i w Korei jest, wiadomo, znacznie gorzej. Zaraz po rewolucji bolszewickiej profesorowie niemarksiści, jeśli nawet nie tracili głów, to tracili posady. Bo humanistyka i nauki społeczne wymagają wolności. Wolności słowa, wolności myśli i wolności dyskusji. A że każda wolność jest dla ustroju autorytarnego, o totalitarnym już nie mówiąc, niebezpieczna, środowiska akademickie korzystające z takiej wolności są postrzegane jako wrogie lub co najmniej podejrzane.

Nie przypadkiem uważający się jeśli jeszcze nie za Boga, to już za „najlepszego w dziejach prezydenta Stanów Zjednoczonych" Donald Trump rozpoczął wojnę z najlepszymi uniwersytetami amerykańskimi, dopatrując się tam lewactwa i liberalizmu.

Mamy w naszej historii podobne doświadczenia. W czasach stalinowskich, jak wiadomo, pozbawiono u nas katedr akademickich wielu wybitnych uczonych humanistów, którzy nie chcieli podporządkować się nowej „religii państwowej", jaką stał się narzucony odgórnie marksizm. Stracili uniwersyteckie katedry m.in. tacy filozofowie jak Tatarkiewicz czy Ingarden. Dopuszczono ich z powrotem do zajęć dopiero w 1956 r. Ze względów ideologicznych zlikwidowano również w tym okresie Polską Akademię Umiejętności.

Po rewolcie studenckiej 1968 r. znów zrobiono czystki na uniwersytetach, ograniczono i tak niewielką autonomię uczelni. Ale tradycja pacyfikowania środowiska akademickiego jest w Polsce starsza. W idealizowanej wciąż Polsce międzywojennej potraktowano środowiska akademickie jeszcze ostrzej. Ponieważ protestowały przeciwko procesowi brzeskiemu, a szczególnie przeciw brutalnemu traktowaniu podsądnych, sanacja spacyfikowała uniwersytety. Nazywa się to eufemistycznie „reformą jędrzejewiczowską". W ramach tej „reformy" zlikwidowano 50 katedr uniwersyteckich, zesłano w stan spoczynku 31 profesorów, z których najmłodszy, Stefan Glaser, miał tylko 39 lat. Nawiasem mówiąc, zrobił on międzynarodową karierę naukową, ale dopiero po 1939 r. na emigracji.

Autorytarni fanatycy lekceważą naukę.

Minister Jędrzejewicz tak przedstawił swój i całego swojego obozu politycznego pogląd na rolę nauki i uniwersytetów: „Przede wszystkim, powaga ich [uczonych] w społeczeństwie zmalała. Tytuł profesora, uczonego, już dziś nie imponuje. Profesor przestał stać na świeczniku społeczeństwa. Przyszły nowe czasy i nowe zadania, w których nauka w oczach społeczeństwa stała się tylko narzędziem pomocniczym w rozwiązywaniu zagadnień chwili, a uczony jest już tylko specem, do którego należy się zwracać w razie potrzeby. Aureola uczoności znikła, został tylko głos fachowca". Czy nie brzmi to znajomo?

Czy nie tę samą filozofię nauki wyznają ci, którzy dziś przekonują, że uniwersytet ma kształcić bardziej praktycznie, rozliczając uczelnie i poszczególne kierunki studiów z „wpływu", jaki mają na „otoczenie społeczno-gospodarcze"? Swoją drogą zastanawiam się, co na ten temat piszą filozofowie lub np. fizycy teoretycy? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Dwie Białorusie

Współpraca z Chinami i USA ma rozluźnić zależność od Rosji

Maxim Rust

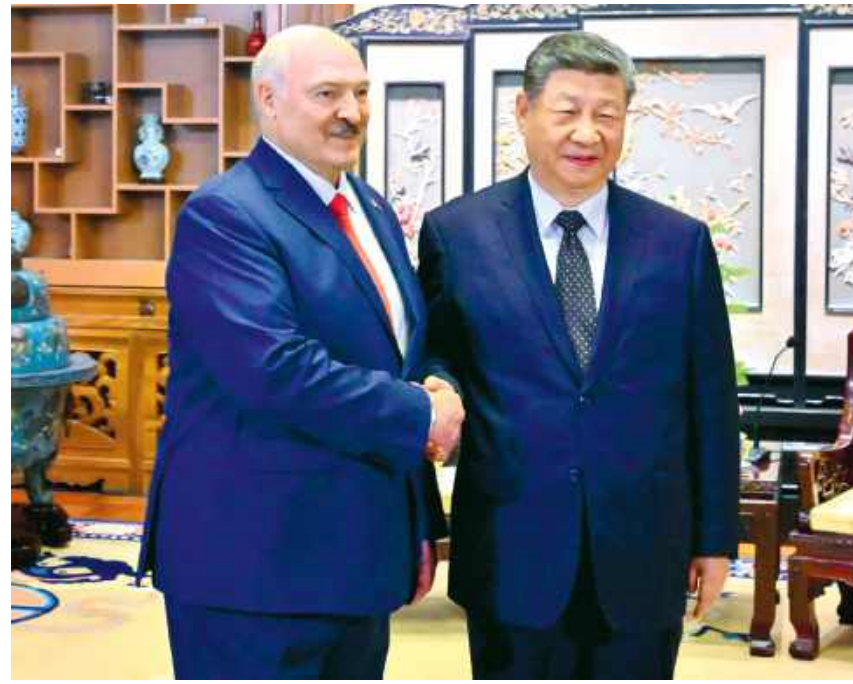
Białoruś już dawno straciła miejsce w centrum zainteresowania zarówno opinii publicznej, jak i wielu polityków, szczególnie na Zachodzie. Zryw społeczny z 2020 r. skierowany przeciw Aleksandrowi Łukaszence przyćmiły wojny na Ukrainie i Bliskim Wschodzie. Niemniej jednak Białoruś pozostaje krajem ważnym w naszym regionie. I niedostrzeganie tego, więcej – lekceważenie, trzeba uznać za błąd w polskiej polityce zagranicznej.

Od pewnego czasu należy mówić o dwóch Białorusiach. Pierwsza to wszystkie osoby, grupy oraz inicjatywy istniejące i działające poza jej granicami. Druga to Białoruś… wewnątrz samej Białorusi, o której z różnych przyczyn mówi się rzadziej i głównie negatywnie.

Od sierpnia 2020 r. przez Białoruś przeszła fala represji, dotychczas niespotykanych i obejmujących prawie każdą dziedzinę życia. Nie dość, że w więzieniach znalazła się ogromna liczba ludzi, to jeszcze władza wprowadziła specjalny tryb sądów zaocznych, by móc sądzić oponentów, którym udało się opuścić kraj. Liczba więźniów politycznych, uznawanych za wrogów Białorusi, mimo stopniowego ich wypuszczania przez decydentów na mocy dealu z Zachodem nadal jest duża.

Totalne uzależnienie

Znacznie rzadziej niż o represjach mówi się o dość nietypowych białoruskich układankach geopolitycznych. Pierwszą było totalne, głównie militarne, uzależnienie od Rosji. To obraz prawdziwy, ale ma swoje niuanse i nie jest już tak jednoznaczny.



Spotkanie prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki z przewodniczącym Chin Xi Jinpingiem w Pekinie, 29 lipca 2026 r.

Gospodarczo Białoruś dostała kroplówkę od Moskwy na niespotykaną dotychczas skalę – po rosyjskim ataku na Ukrainę i wprowadzeniu sankcji białoruskie przedsiębiorstwa molochy znalazły się wręcz w warunkach cieplarnianych.

Bardzo istotne dla władz w Mińsku jest to, że Białoruś formalnie nie dołączyła do rozpoczętej przez Rosję wojny z Ukrainą. Dla Łukaszenki ma to kluczowe znaczenie, ponieważ społeczeństwo białoruskie jest raczej nastawione antywojennie. W lutym 2022 r., mimo trwania powyborczych represji, nawet w Mińsku zdarzały się, wprawdzie nieliczne, akcje protestu przeciwko wojnie. Toteż mimo coraz silniejszych nacisków strony rosyjskiej, mimo polityki szantażu, żeby Białoruś wciągnąć w ów konflikt, Łukaszenka na wszelkie sposoby stara się tego unikać. Widać to na różnych płaszczyznach. Nawet werbalnej. Na Białorusi wojnę Rosji z Ukrainą nazywa się wojną, a nie specjalną operacją wojskową. W propagandzie państwowej przykład rosyjskiego ataku na sąsiedni kraj jest przedstawiany jako coś, czego Białoruś chce uniknąć i do czego „zew Zachodu" może doprowadzić państwa poradzieckie.

Propagandowo Białoruś wciąż lansuje się jako zachodni sojusznik Rosji, który zawsze ochroni ją od tyłu. I oba kraje mają bronić „wspólnej ojczyzny od Brześcia aż po Władywostok".

W obecnej sytuacji nie da się prowadzić podwójnej gry, siedzieć na dwóch krzesłach, co Białoruś

eprasa.pl 25e4991eaf

robiła otwarcie przed 2020 r. Dlatego w ostatnich latach widać próby może i pełzającej, ale dywersyfikacji polityki zagranicznej. Bardzo wymowna była niedawna sytuacja z tzw. ultimatum Zełenskiego, kiedy to oficjalny Mińsk – przynajmniej w ocenie międzynarodowych i ukraińskich ekspertów – musiał ustąpić. Chodziło o sugestię ukraińskiego prezydenta, że jeśli Białoruś nie wyłączy przekaźników, które naprowadzają rosyjskie rakiety na ukraińskie cele, Ukraina może zaatakować cele na terytorium samej Białorusi. Łukaszenka wie, że Kijów ma takie możliwości. To zadziałało.

Kierunek Pekin

Podejmowanie przez białoruskie władze prób wyjścia poza krąg wyznaczony przez Rosjan widać też w innych dziedzinach. Przykładem może być intensyfikacja poszukiwania partnerów politycznych i rynków zbytu na tzw. Południowym Łuku, czyli przede wszystkim w krajach Afryki i Azji. Od trzech lat obserwujemy coraz częstsze podróże samego Łukaszenki, jak i licznych delegacji, do krajów afrykańskich, bliskowschodnich oraz Azji Południowo-Wschodniej. W tym czasie Białoruś znalazła bardzo egzotycznych niegdyś partnerów, takich jak Mjanma (dawniej Birma) czy Korea Północna, do której Łukaszenka po raz pierwszy w historii wybrał się z oficjalną wizytą w tym roku.

Jednak głównym pozarosyjskim partnerem Mińska pozostaje Pekin. Relacje Białorusi i Chin osiągają obecnie jeden z najwyższych stopni współpracy strategicznej, którą, co zrozumiałe, Białoruś bardzo się szczyci. Przedstawia ją jako partnerstwo strategiczne dla obu stron, choć wiadomo, że przy chińskim potencjale nie jest dla Państwa Środka partnerem najważniejszym. Dla Pekinu takimi państwami pozostają w pierwszej kolejności USA, a na dalszej pozycji Rosja. Oczywiście dla Chin Białoruś ma pewne znaczenie, głównie pod względem inicjatywy „Pasa i Szlaku", ale dla Mińska współpraca z Pekinem ma już znaczenie niebagatelne. Oprócz czynnika propagandowego ważne są tu ogromne chińskie inwestycje w białoruską gospodarkę, co Moskwa bacznie obserwuje i co musi ją niepokoić.

Intensyfikacja geopolityczna na kierunku chińskim wskazuje, że Białoruś traktuje go priorytetowo, prawie na równi z rosyjskim – mimo zapewnień o braterskiej miłości. W ostatnim czasie pojawiły się nawet spekulacje, że w sytuacji zagrożenia i zbyt natarczywych działań i nacisków Moskwy Mińsk mógłby potraktować Pekin jako przeciwwagę, która może być wsparciem dla suwerenności kraju w obecnym kształcie. Stąd taka dbałość Białorusi o dobre relacje z Chinami na wszystkich polach. Poza aspektem politycznym chodzi oczywiście o poszukiwanie dodatkowych rynków zbytu w samych Chinach i w całym regionie dalekowschodnim.

Na tę politykę Łukaszenki i na jego starania o zacieśnianie współpracy z Pekinem należy spojrzeć szerzej. Białoruś zdaje sobie sprawę i wyciąga wnioski z triady zależności: skoro Mińsk jest na łasce Moskwy, a ta z kolei na łasce Pekinu, to dlaczego by nie utrzymywać bezpośrednich relacji z właściwym patronem?

Jeszcze niedawno mogło się wydawać, że Białoruś nie ma już żadnych alternatyw dla kierunku rosyjskiego. Okazało się, że te jednak są, choćby przedstawione wyżej. Ale i na kierunku zachodnim zaczynają się zmiany. O ile stosunki z większością krajów Zachodu, przede wszystkim z UE, po 2020 r. faktycznie są zamrożone, o tyle dość nieoczekiwany obrót przybrały relacje na linii Mińsk-Waszyngton. Jeśli za prezydentury Joego Bidena amerykańska polityka wobec Białorusi prezentowała ogólny nurt zachodni, to administracja Donalda Trumpa poszła inną drogą.

Wszystko zaczęło się od nieoczekiwanego telefonu prezydenta USA do Łukaszenki przed jego spotkaniem z Władimirem Putinem. Białoruskie media błyskawicznie rozegrały tę sytuację: „Skoro UE zachowuje się po szczeniacku, będziemy rozmawiać wprost z gospodarzem Zachodu". Następnie było kilka wizyt specjalnego wysłannika amerykańskiego prezydenta do Mińska oraz wymiana pięknych gestów i słów między obydwoma panami. Ta zmiana na linii USA-Białoruś doprowadziła do paru ważnych decyzji.

Najważniejszą jest kilka rund uwalniania więźniów politycznych z białoruskich więzień. W Polsce najgłośniej było o tej ostatniej, gdy uwolniono (a jednocześnie wypchnięto z kraju) Andrzeja Poczobuta. Wydaje się, że na tej zmianie relacji korzystają obie strony. Dla Białorusi to znaczący ruch propagandowy. Ale i cel gospodarczy jest nie bez znaczenia. Po tym dość szybkim ociepleniu zostały zniesione amerykańskie sankcje na newralgiczne gałęzie białoruskiej gospodarki – na producentów nawozów potasowych.

Lekceważenie znaczenia Białorusi trzeba uznać za błąd w polskiej polityce zagranicznej.

Dla amerykańskiej administracji te rozmowy i decyzje mają również wymiar prestiżowy. To dlatego, że udaje się jej przedstawiać Trumpa jako wielkiego i skutecznego humanistę, który jest w stanie szybko wpłynąć na uwolnienie więźniów politycznych całymi grupami, z czym UE od lat nie dawała sobie rady.

Nie bez znaczenia, co podnosi białoruska propaganda, pozostaje to, że Łukaszenka dobrze zna Putina, choć posługiwanie się tym argumentem – że USA w ogromnym stopniu korzystają z tej wiedzy – wydaje się na wyrost. Ważnym czynnikiem w nieoczekiwanej współpracy, i to nie tylko dla Białorusi, są nawozy potasowe. Również dla Ameryki, która weszła w konflikt z Kanadą na tle cen, jakie Stany musiały płacić za potasy. I choć z perspektywy amerykańskiej te relacje trzeba postrzegać bardziej jako techniczne i przejaw business as usual, potencjalna wizyta w Waszyngtonie lub innego rodzaju spotkanie Łukaszenki z Trumpem nie wydaje się już polityczną fikcją, jak jeszcze kilka miesięcy temu.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 25e4991eaf

Karty przetargowe

Patrząc na zmianę strategii USA wobec Białorusi, należy też odnieść się do więźniów politycznych, a konkretnie uwolnienia Andrzeja Poczobuta, o którym w ostatnich miesiącach bez przerwy mówiło się w polskich mediach. Musimy pamiętać, że dla białoruskiego systemu więźniowie polityczni nadal są elementem gry międzynarodowej. Traktuje się ich jako dodatkowe karty przetargowe. Tak było wiele lat temu, jest teraz i nic nie wskazuje, by miało się zmienić. I wcale nie chodzi o jakąś szczególną „antypolskość" białoruskich władz – to zbyt upraszczające rozumienie logiki działania Mińska. Niezależnie od narodowości jednostki lub grupy granicą zawsze jest to, co Mińsk uzna za potencjalnie niebezpieczne politycznie. Bez narodowych sentymentów.

Antypolska narracja, prowadzenie polityki historycznej w duchu rozliczania „polskiej okupacji zachodniej Białorusi" to działania nieco innego szczebla, zasługujące na osobne potraktowanie w innym tekście. Poczobut zwyczajnie był ważną kartą przetargową w relacjach z Polską, trzymaną do odpowiedniego momentu. A skoro nie dało się dogadać bezpośrednio z Polską, której bardzo zależało na jego uwolnieniu, to trzymano go do momentu, w którym można było coś uzyskać od Trumpa.

A co z samym społeczeństwem? Tu należy od razu powiedzieć, że potencjału mobilizacyjnego, z którym mieliśmy do czynienia w 2020 r., nie ma. Bo i skąd miałby się wziąć? Tysiące Białorusinów nastawionych opozycyjnie już doświadczyło białoruskiego więzienia. Część wyjechała i przebywa poza granicami ojczyzny – według różnych szacunków Białoruś mogło opuścić po 2020 r. nawet prawie 1 mln ludzi. Na Białorusi nie ma chętnych do protestowania, już nie mówiąc o walce z reżimem Łukaszenki. Z prostej przyczyny: dziesiątki tysięcy ludzi obawiają się powtórki represji, jak po wydarzeniach z 2020 r., a część zwyczajnie jest na emigracji wewnętrznej. W tej sytuacji prawie dziewięciomilionowy kraj – jakkolwiek by to zabrzmiało – żyje, a przynajmniej próbuje żyć, normalnym życiem, z dala od polityki.

Współczesna Białoruś pod względem społecznym i politycznym wciąż odczuwa skutki roku 2020. Choć wydaje się, że drakońskimi metodami zaprowadzono spokój i porządek w takim sensie, jak to rozumie władza, obawa przed mobilizacją społeczną czy jej namiastką również jest wyczuwalna. Po 2020 r. państwo znacząco zmieniło podejście do nowoczesnej propagandy, pracy ideologicznej oraz pracy z młodzieżą.

Z jednej strony, oficjalna polityka historyczna coraz silniej odwoływała się do dziedzictwa radzieckiego, jednocześnie umacniając narrację o niezachwianej przyjaźni z narodem rosyjskim. Na wzór rosyjski wprowadzono nawet białoruską ustawę o tzw. zakazie propagandy LGBT (to novum, bo wcześniej – oprócz wymiaru politycznego – państwo do życia prywatnego obywateli raczej się nie mieszało).

Z drugiej strony, po rosyjskiej napaści na Ukrainę jednym z dominujących tematów jest to, że dążenia do związania się z Zachodem mogą się skończyć wojną. I że celem państwa jest właśnie pokojowe niebo nad krajem. Ale w tym samym czasie Białoruś nazywa wojnę wojną i wszelkimi sposobami próbuje do niej nie dołączyć de iure. Jednocześnie szuka też innych wektorów geopolitycznych niż tylko rosyjski.

Na koniec warto wspomnieć, że ciekawy obraz Białorusi mogą tworzyć materiały polskich youtuberów, którzy w ostatnich latach zaczęli kręcić coraz więcej filmików z tego kraju. Absolutnie nie oceniam takich wypraw pod względem etycznym czy moralnym – każdy sam decyduje, z czego chce robić kontent. Tym bardziej że formalnie dla obywateli polskich wciąż obowiązuje ruch bezwizowy. W każdym razie autorzy tych filmów – wyraźnie podkreślając, że odcinają się od wszelkich tematów politycznych i nie oceniają systemu – zaznaczają, że media głównego nurtu demonizują Białoruś, a ona wygląda inaczej. Jest czysto, bardzo spokojnie i bezpiecznie, a nawet stosunkowo tanio. Cóż, to całkowita prawda. Wspomnę tylko, że i w Berlinie na początku lat 40. XX w. było bezpiecznie i spokojnie, działały sklepy i teatry, a i bawić się można było w kawiarniach i restauracjach.

Maxim Rust – doktor nauk politycznych, adiunkt, badacz i wykładowca Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się elitami politycznymi państw poradzieckich oraz zmianami społeczeństw w krajach przechodzących transformację



eprasa.pl 25e4991eaf

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Bronię Rosjan

Bronić Rosjan? Tak, trzeba bronić rosyjskich tłumaczy z języka polskiego. Na odbywający się w Krakowie 6. Światowy Kongres Tłumaczy Literatury Polskiej nikt z nich nie został zaproszony.

Sprawa miała miejsce przed dwoma miesiącami, ale jej przypomnienie jest konieczne. Bo czemu właściwie to zrobiliśmy? Rosja nawet w czasie zaborów stanowiła chłonny rynek literatury polskiej. Poza Polską tylko tam ukazywały się edycje zbiorowe naszych klasyków: Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej, Stanisława Przybyszewskiego (wszystkim wydawano „Sobranije soczinienij" lub „Połnoje sobranije soczinienij"). Podobna sytuacja miała miejsce w ZSRR, gdzie wielką popularnością cieszyły się utwory Stanisława Lema. Z kolei od lat 90. trwa w Rosji fala zainteresowania kulturą polską – wolna już od ograniczeń cenzuralnych. A trzeba przy tym pamiętać, że na całym obszarze postradzieckim język rosyjski ma do dziś status języka międzynarodowego. To za jego pośrednictwem literatura polska docierała kiedyś nie tylko do Kirgizji czy Tadżykistanu, lecz nawet do Chin. Potępiajmy jak najsilniej zbójecki rosyjski imperializm, ale pamiętajmy o wyjątkowości rosyjskiego rynku polskiej książki. Świetnie to rozumiał Jerzy Giedroyc, a po nim Jerzy Pomianowski – twórca adresowanego do Rosjan pisma „Nowaja Polsza". Dziś, nie zapraszając Rosjan, wyrządziliśmy im afront (w afrontach jesteśmy ostatnio dobrzy), lecz przede wszystkim zrobiliśmy krzywdę samym sobie.

Z reguły wystrzegam się krytyk personalnych i tym bardziej pragnąłbym ich uniknąć w przypadku obecnego dyrektora Instytutu Książki, dr. Grzegorza Jankowicza. Znam go przecież od lat, lubię i niezmiernie wysoko cenię. Ale jego list z 15 czerwca (podpisany wspólnie z trzema zastępcami, co samo w sobie jest kuriozalne) zawiera obok innych bulwersujących stwierdzeń również takie zdanie: „Już wcześniej podjęliśmy systemową decyzję, by radykalnie ograniczyć środki publiczne przeznaczone na promocję polskiej literatury w obszarze rosyjskojęzycznym"… „Systemowa decyzja"! „Radykalnie ograniczyć"! Wszak to działanie przeciw polskiej kulturze! Że coś takiego mogło zostać napisane – to dla mnie niepojęte. Że nikt z Instytutu Książki nie zgłosił votum separatum – to już tylko żałosne.

Na kongres nie zaproszono nawet Nikity Kuzniecowa. Ten tłumacz Miłosza, rodem z Petersburga, ma obywatelstwo polskie i mieszka w Krakowie. „Jestem takim samym obywatelem Polski jak Pan Dyrektor – pisał do Jankowicza – a jedyne, co nas różni, to moje pochodzenie etniczne oraz język, na który tłumaczę". Czytałem ten list z rumieńcem wstydu, bo nie tylko ujrzałem klasę człowieka, o której u nas można raczej pomarzyć, ale też uświadomiłem sobie, że bakcyl nacjonalizmu dotarł nawet do Instytutu Książki. Solidarność z Kuzniecowem wyrazili na szczęście tacy ludzie jak Krystyna Zachwatowicz, Henryk Woźniakowski, Hieronim Grala, Aleksander Fiut, Wojciech Ligęza czy nieoceniony Grzegorz Przebinda. Ale ogół polskiej opinii publicznej milczał.

W kuluarach kongresu mówiono, że brak zaproszenia Rosjan był spowodowany naciskami tłumaczy ukraińskich; mieli jakoby twierdzić, że „albo my, albo Rosjanie". Zawsze będę bronił Ukraińców toczących z Rosją kilkuletnią już wojnę o wolność, ale tak jak mają oni prawo czcić takich bohaterów, jakich sami uważają, tak nie mogą sobie rościć prawa do szantażowania Polaków. Ale może nie ma o czym mówić, skoro w ostatecznym rachunku było to i tak suwerenne – i bardzo gorliwe – stanowisko strony polskiej. Ignorancja czy tak dobrze w Polsce zadomowiony brak odwagi cywilnej, instynkt stadny?

Rosjanom przekładającym polskie książki w tak trudnych politycznie warunkach jesteśmy winni wdzięczność.

Bo przecież powinno nam zależeć, by polska literatura szła w świat i docierała jak najdalej, jak najszerzej. Polska to nie Francja czy Anglia, które dadzą sobie radę bez kongresów tłumaczy. Rosjanom przekładającym polskie książki w tak trudnych politycznie warunkach jesteśmy winni wdzięczność większą niż kiedykolwiek. Z samej natury rzeczy nie są oni chwalcami Putina, lecz nawet gdyby było inaczej, to także dla takich ludzi powinno być miejsce. Bo Kongres Tłumaczy był zawsze dla wszystkich.

Cyprian Norwid pisał niegdyś o potrzebie budowania w Rosji „partii polskiej". Dziś o takiej partii nie ma mowy, więc tym bardziej warto było korzystać z rosyjskich tłumaczy: ambasadorów polskiej kultury. Dobrowolnie ich sobie skreśliliśmy – cui bono? Ilu teraz wybije sobie z głowy miłość do Polski? Ilu się przekwalifikuje na tłumaczenia z innego języka?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Generał chce bronić demokracji

Gadi Eisenkot szykuje się do zdetronizowania Netanjahu



Gadi Eisenkot podczas kampanii. 7 września 2026 r.

Jakub Katulski

Dla Beniamina Netanjahu zbliżające się wybory parlamentarne z pewnością nie będą momentem komfortowym. Za weteranem izraelskiej polityki wciąż ciągną się oskarżenia o korupcję i nadużycie władzy. Jego sposób prowadzenia polityki zagranicznej i agresywne działania zbrojne w Gazie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie i Syrii przyczyniają się do wzrostu napięć między Izraelem i jego partnerami, a także do międzynarodowej izolacji Tel Awiwu.

Na domiar złego poczytny liberalny dziennik „Ha-Arec" 8 września opublikował wyniki śledztwa opartego na książce „Zakładnicy: 843 dni porzucenia" (ukazała się 7 września). Według jej autorów, Szlomiego Eldara i Rut Juval, Netanjahu miał całkowicie zignorować ostrzeżenie o przygotowywanym przez Hamas ataku na Izrael, otrzymane od prezydenta Zjednoczonych Emiratów Arabskich. We wrześniu 2023 r. szejk Muhammad ibn Zajid al-Nahajjan zadzwonił do izraelskiego premiera na zabezpieczoną linię. „Ha-Arec" podaje, że Bibi nigdy nie wspomniał o tym telefonie swoim szefom wywiadu i armii, co doprowadziło do największego załamania systemu bezpieczeństwa w historii współczesnego Izraela.

Netanjahu nazwał te doniesienia kłamstwem, ale w Izraelu i poza jego granicami zastanawiano się, jak służby izraelskie mogły dopuścić do ataku z 7 października. Często w tych dociekaniach sięgano po teorie spiskowe.

Sondaże są optymistyczne

Główni oponenci polityczni Netanjahu w tej kampanii zarzucają mu wprost, że nie nadaje się do dalszego sprawowania władzy, skoro za jego kadencji doszło do takiego ataku. Jednym z nich jest Gadi Eisenkot, były szef sztabu Sił Obrony Izraela – doświadczony wojskowy, ale polityk z relatywnie krótkim stażem. Najważniejszą rolą polityczną Eisenkota była do tej pory praca w gabinecie wojennym Beniamina Netanjahu, powołanym cztery dni po ataku Hamasu na izraelskie miejscowości w pobliżu muru oddzielającego Izrael od Gazy. Netanjahu starał się wtedy rozszerzyć koalicję, korzystając z dużego poparcia dla działań militarnych w Gazie. Gabinet wojenny rozpadł się jednak już w czerwcu 2024 r., gdy Eisenkot wraz z innym byłym szefem sztabu, Benim Gancem, który także został politykiem, zrezygnował z dalszego udziału w jego pracach. Obydwaj podkreślali, że nie widzą, by Netanjahu starał się zakończyć wojnę w Gazie.

Dzisiaj Eisenkot jest najpoważniejszym konkurentem Netanjahu, a większość sondaży przedwyborczych wskazuje, że jego partia Jaszar (Prosto) zdobędzie kilka mandatów

eprasa.pl 25e4991eaf

więcej niż Likud. W ostatnich tygodniach w zasadzie już tylko sondaże populistycznego prawicowego Kanału 14, który bezkrytycznie wspiera władzę Netanjahu i kreuje rzeczywistość pod jego dyktando, wieszczą zwycięstwo Likudu.

Pozostałe ugrupowania sceny politycznej z różnych względów tracą popularność. Przymierze Naftalego Bennetta, prawicowego ortodoksyjnego Żyda, przeciwnego palestyńskiej państwowości, z Jairem Lapidem, politykiem centroprawicowym skupiającym się na gospodarce liberalnej i popierającym, przynajmniej na papierze, rozwiązanie dwupaństwowe, okazało się zbyt egzotyczne dla wyborców obu polityków. Tymczasem Gadi Eisenkot w każdym tygodniu zdaje się przyciągać kolejnych Izraelczyków wierzących w obietnicę zmian.

taki, który byłby bardziej uzależniony od polityków.

Partia Jaszar zapowiada, że będzie dążyć do łagodzenia polaryzacji, aby zwiększyć zaufanie społeczeństwa do państwa. Chce w ten sposób zachować charakter Izraela jako państwa żydowskiego i demokratycznego. Program brzmi ambitnie, ale w gruncie rzeczy nie różni się znacząco od propozycji, z którymi do wyborców w ostatnich latach wychodzili wszyscy poważni konkurenci Netanjahu, tacy jak wspomniani Beni Ganc i Jair Lapid.

Z koszar do polityki

Skupienie się na bezpieczeństwie i mniejszościach wynika wprost z doświadczeń życiowych Eisenkota. Urodził się na początku lat 60. w Tyberiadzie, w rodzinie żydowskich

Gadi Eisenkot przyciąga kolejnych Izraelczyków wierzących w obietnicę zmian.

Eisenkot nie jest jednak w żadnym razie gołębiem ani zwolennikiem zmian w podejściu do Palestyńczyków. Nie tego zresztą oczekują jego potencjalni wyborcy, bardziej zbulwersowani aferami wokół Beniamina Netanjahu. Eisenkot obiecuje im dokładne zbadanie sprawy ataku z 7 października, wzmocnienie Sił Obrony Izraela oraz wprowadzenie zmian dotyczących obowiązkowej służby wojskowej – ta miałaby obejmować także ultraortodoksyjnych Żydów i obywateli arabskich.

Mówi poza tym o zwalczaniu przestępczości na ulicach, szczególnie w społecznościach arabskich, które odnotowują wyższy odsetek brutalnych przestępstw w stosunku do reszty kraju, a jednocześnie skarżą się na niedostatek sił policyjnych.

Eisenkot obiecuje również zajęcie się prawami mniejszości i ochronę niezależności sądownictwa. To istotne, gdyż Netanjahu starał się wpływać na sądy poprzez proponowane na początku 2023 r. zmiany uprawnień Sądu Najwyższego i składu komitetu odpowiedzialnego za wybór sędziów wszystkich szczebli – na emigrantów z Maroka. Kolejne dekady były trudne dla Mizrachijczyków – tak nazywa się Żydów pochodzących z krajów Bliskiego Wschodu. Skarżyli się przede wszystkim na dyskryminację polityczną, społeczną i ekonomiczną. Stąd poruszenie wśród żydowskich publicystów izraelskich i zachodnich. Po raz pierwszy w historii Izraela realną szansę na zostanie premierem ma polityk wywodzący się z tej przez dekady marginalizowanej grupy, która dziś stanowi większość wśród izraelskich Żydów.

Gadi Eisenkot to także wojskowy. Od wieku poborowego jego kariera była związana z uchodzącą za elitarną Brygadą Golani. Podczas izraelskiej inwazji na Liban w latach 80. Eisenkot został dowódcą kompanii i wspinał się po szczeblach kariery, by w 1997 r. awansować na dowódcę brygady. Po dwóch latach został już na tyle dostrzeżony, że premier Ehud Barak wybrał go na sekretarza wojskowego, czyli osobę będącą bezpośrednim łącznikiem premiera z wojskiem.

W czasie drugiej intifady w latach 2000-2005, gdy palestyńskie ugrupowania zbrojne regularnie dokonywały w izraelskich miastach zamachów i na cele wojskowe, i na ludność cywilną, Eisenkot dowodził dywizjami pancernymi i był odpowiedzialny za prowadzenie działań przeciwko palestyńskim bojownikom. Doświadczenia z kolejnej wojny w Libanie w 2006 r. doprowadziły go do sformułowania kontrowersyjnej doktryny Dahiji. Jej nazwa pochodzi od dzielnicy Bejrutu, która została zrównanaz ziemią podczas starcia sił Izraela z Hezbollahem.

W myśl tej doktryny Siły Obrony Izraela mają niszczyć infrastrukturę cywilną, co uniemożliwi wrogom szybkie przegrupowanie i odbudowę sił oraz będzie ostrzeżeniem na przyszłość. Fakt, że infrastruktura cywilna według prawa międzynarodowego nie powinna stanowić celu dla wojsk, ma znaczenie drugorzędne. Nie ma także większego znaczenia to, że swoją doktrynę Eisenkot sformułował i opublikował w raporcie jednego z izraelskich think tanków. Trudno ją bowiem potraktować jedynie jako publicystykę lub sugestię analityczną. Stopień zniszczenia Gazy po trzech latach wojny pokazuje, że Siły Obrony Izraela kierują się nią przy planowaniu działań wymierzonych oficjalnie w organizacje zbrojne.

Co z osadnikami?

Eisenkot tę wojnę odczuł osobiście. Jeden z jego synów, również żołnierz, zginął w działaniach zbrojnych w Gazie, podobnie jak kilku dalszych krewnych. Choć przedstawiany bywa jako lepsza alternatywa dla Netanjahu, z perspektywy zarówno Palestyńczyków, jak i szukających politycznego rozwiązania konfliktu Izraelczyków wygrana Eisenkota może być jedynie zmianą kosmetyczną, a kto wie, czy nie zapowiedzią kolejnych eskalacji.

Eisenkot zawsze był przeciwny palestyńskiej państwowości. Jeszcze w sierpniu mówił, że każdy, kto po 7 października 2023 r. wierzy w rozwiązanie dwupaństwowe, żyje w oderwaniu od rzeczywistości. Skrytykował natomiast kontrowersyjny plan E1, w ramach którego nowe osiedla żydowskie mają powstawać

FOT. COHEN MAGEN/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

eprasa.pl 25e4991eaf

na obszarze na wschód od Wschodniej Jerozolimy, tym samym odcinając miasto od Zachodniego Brzegu. Dla Palestyńczyków to sytuacja nie do zaakceptowania. Według nich Wschodnia Jerozolima miała być stolicą przyszłego państwa palestyńskiego. Na to oczywiście nie przystają Izraelczycy, którzy uważają, że niepodzielna Jerozolima jest stolicą ich państwa. Nie bez znaczenia jest fakt, że we Wschodniej Jerozolimie znajdują się Meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, które zostały postawione na Wzgórzu Świątynnym. To stanowiło i zapewne wciąż będzie stanowić punkt zapalny wielu zamieszek i większych konfliktów zbrojnych.

Nic jednak nie wskazuje na to, by sprzeciw wobec planu rozbudowy osiedli miał zwiastować jakąś zmianę w podejściu państwa do osadnictwa, w sytuacji gdyby Eisenkot został premierem. Otwarcie mówi on o tym, by pozostawić istniejące budynki. Oficjalnie jest przeciwnikiem powstawania kolejnych nielegalnych osad, ale Netanjahu także nigdy oficjalnie nie wsparł ich powstawania – kierował się za to polityką cichych przyzwoleń, przymykania oczu na przemoc wobec Palestyńczyków i wspierania obecności radykałów, których ubezpieczał przy pomocy wojska.

Czy więc Eisenkot różni się znacząco od Netanjahu, skoro jego polityka, zamiast prowadzić do rozwiązania konfliktu, również będzie oparta na zarządzaniu nim? Być może na jego program wpłyną niedawne deklaracje Wielkiej Brytanii, Francji i Kanady, które 8 września zdecydowały się na ograniczenie importu towarów pochodzących z nielegalnych w świetle prawa międzynarodowego osiedli żydowskich znajdujących się na terytoriach palestyńskich. Postanowiły też nałożyć sankcje na wszystkie osoby i organizacje wspierające rozwój osadnictwa. Deklarację podpisało 12 państw, w tym Polska.

Ministrowie w rządzie Beniamina Netanjahu przekonują, że ta polityka podszyta jest antysemityzmem. Ed Miliband, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, podkreśla jednak, że to krok konieczny do zabezpieczenia procesu pokojowego. Jego zdaniem niedawne działania rządu Izraela, w tym wspomniany plan rozbudowy osiedli, sprawią, że rozwiązanie dwupaństwowe, wciąż popierane przez społeczność międzynarodową, stanie się niemożliwe do wprowadzenia.

Tak czy inaczej, Eisenkot nadal ma trudną drogę do przebycia. Nawet jeśli jego ugrupowanie prześcignie Likud przy urnach wyborczych, wciąż nie ma gwarancji, że zdoła stworzyć rząd. Lider partii Jaszar już więc zapowiedział, że przygotowuje się do zbudowania rządu mniejszościowego, na wypadek gdyby nie udało mu się powołać koalicji ugrupowań opozycyjnych. Takiego rozwiązania nie chcą poprzeć niektórzy jego koalicjanci, w tym Awigdor Lieberman z partii Jisra'el Betenu (Nasz Dom Izrael). Konieczne zatem mogą się okazać ustępstwa w stosunku do zaproponowanego programu lub kolejne kompromisowe rozwiązania, które jednak nie pozwolą na stabilne rządy.

Jakub Katulski



eprasa.pl 25e4991eaf



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Rzeczywistość i nierzeczywistość

Mam za sobą lekturę „Pożegnania z Polską Ludową”. Świetna książka – być może przewietrzy trochę nasze głowy. Śledząc rozmowy, które prowadzi red. Paweł Dybicz, autor projektu, zdejmujemy szkolny gorsecik, obserwujemy furkoczące kołowrotki historii, chwytamy puls politycznego przełomu. Te czasy mamy już za sobą, choć jednak nie do końca. „Przeszłość – uczulał nas William Faulkner – nigdy nie umiera, tak naprawdę nie jest nawet przeszłością”. Jaki charakter miało nasze „pożegnanie z Polską Ludową”? Dziś coraz wyraźniej odzywa się potrzeba namysłu wykraczającego poza ramy histerii ukazującej rok 1989 jako zwycięstwo w walce z Szatanem. Rodzą się pytania o autentyczny sens naszych doświadczeń. W ten sposób przeszłość staje się teraźniejszością.

Wracam do książki. Usłyszeliśmy – i to jest rzecz najważniejsza – całkiem inny głos, w kontrze wobec fikcji, którą narzuca idea „obalenia komuny”. Jako naród żyjemy w klimacie wniebowstąpienia, w uniesieniu, które prowadzi nas na pola wiecznej chwały. Zamiast historii – jak to u nas bywa – mamy martyrologię. Zamiast refleksji spazmy samouwielbienia.

Zawarte w książce wypowiedzi prowadzą nas poza opłotki IPN-owskiej dewocji. Rozmówcy red. Dybicza pokazują narodziny nowego trendu historycznego. Analizują jego złożoną fakturę i bieg zdarzeń jawnie zaprzeczający obrazom rozpowszechnianym przez miłośników dewocji. Swoje obserwacje prezentują przedstawiciele ówczesnej partii rządzącej (nie dotyczy to prof. Ewy Łętowskiej), którzy pełnili ważne funkcje w aparacie władzy i jednocześnie tworzyli jego zaplecze intelektualne. Na tym tle historia opowiedziana ustami żarliwych antykomunistów zmienia się w materiał satyryczny.

Mówi Andrzej Barcikowski: „To Gierek stworzył »Solidarność«”. Ma oczywiście na myśli impulsy modernizacyjne epoki gierkowskiej, które ostatecznie wyzwoliły mechanizm buntu społecznego. No cóż, każda władza kopie swój własny grób. Ciekawe, czy obecnie rządzący biorą to pod uwagę, czy też żyją w bańce końca historii.

Uwaga najszersza: „pożegnanie” to był proces historyczny, a nie nagły skok na drugą stronę rzeki. „Komuny” nie obalono, bo komuny nie było. W rzeczywistości mieliśmy do czynienia z presją nowej koniunktury historycznej, a nie z biblijnym obrazem przejścia przez Morze Czerwone. Nie było – wbrew laurkom koloryzującym zwycięstwa „Solidarności” – żadnego uderzenia huraganu historii. O wszystkim przesądziły trzeźwe kalkulacje przeciwników, którzy – tak było w obu przypadkach – nie stali zbyt mocno na nogach. Aleksander Kwaśniewski: „Przy Okrągłym Stole spotkały się dwie bardzo osłabione strony i dlatego wynik był dobry”. Podobną ocenę sformułował Stanisław Gabrielski: „»Solidarność« była w d…, siłą gasnącą, oczywiście wywoływała różne tam strajki, ale na więcej jej nie było stać, ale i władza była w drugiej d…”. A więc to nie był huragan, tylko kompromis, który zaczął żyć własnym życiem.

Całą kiczowatą symbolikę nowej Bastylii stworzyli, szwendający się w cieniu, maruderzy polityczni, którzy wyruszyli na swoje łowy, gdy zgasło światło na wielkiej scenie historii. Moje uwagi nie dotyczą więc liderów opozycji, bo oni tworzyli nową rzeczywistość, podejmując dialog z przedstawicielami obozu władzy. Epigoni, aktorzy trzeciego planu, dla których nie było miejsca w szeregach bohaterów, przenieśli dzieje ojczyste do krainy fantazji, by tam prowadzić swoją walkę z komuną.

„Pożegnanie z Polską Ludową” to świetna książka, która być może przewietrzy trochę nasze głowy.

Obraz życia rozkwitającego na zgliszczach świątyni zła umieszcza nas w nierzeczywistości. Kłamstwa ukazujące historię PRL jako otchłań upadku to scenariusz grozy na poziomie Disneylandu. W istocie są one elementem psychozy politycznej, która postawiła naszą politykę pamięci (IPN!) na krawędzi absurdu, inicjując proces niszczenia kapitału społecznego i kapitału kulturowego, dając do rąk berło ludziom pokroju Bąkiewicza i podobnych do niego marionetek – psychofanów ogłupienia, którzy plują nam wszystkim do zupy. Ich bastionem na obszarach nierzeczywistości jest dziś IPN. Symboliczną kulminacją absurdu stało się usunięcie Okrągłego Stołu z Pałacu Prezydenckiego.

Na koniec jeszcze jedna kwestia do przemyślenia – kierownicza rola PZPR. Czy rycerze pól niebiańskich ucięli głowę smoka? Nie mieli okazji tego zrobić. W okresie prowadzącym w stronę przesilenia – mówi Stanisław Gabrielski – partia „znalazła się na równi pochyłej”. Krzysztof Janik: „Gdy przyszedłem do KC, przekonałem się, że tej partii już prawie nie ma” (był rok 1986).

I wreszcie puenta: „Spora część polskiej sceny politycznej – mówi Janik – już teraz rozumie, że ich stosunek do PRL wcale ich nie legitymizuje. (…) Zaręczam, za chwilę zrozumieją to wszyscy politycy, choć kilku głupców zostanie”. Może to lepiej – czym byłby świat bez głupców? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

NA SCENIE WŚRÓD

Najciekawszy jest ten spektakl, który dopiero się wyłania

Rozmawia Roman Kurkiewicz



ZBIGNIEW WASZKIELEWICZ
– aktor, reżyser, pedagog i animator kultury. W 1986 r. założył Teatr IOTA, który działa we wsi Radzie na Mazurach, a w sierpniu obchodził jubileusz 40-lecia.

Jak to jest być alfą i omegą niewielkiego, ale wyjątkowego Teatru IOTA, działającego w mazurskiej wiosce, gdzieś między Giżyckiem a Ełkiem?

– IOTA jest teatrem autorskim, chociaż ma w nazwie improwizację i słowa. Założyłem go jeszcze w Katowicach, gdzie pracowałem w Teatrze Śląskim im. Wyspiańskiego oraz na Uniwersytecie Śląskim. 31 lat temu teatr wraz ze mną przeniósł się na Mazury, gdzie osiadłem. Wrócił ze mną w ojczyste strony. 40 lat jego działania to kilkadziesiąt spektakli, ale dokładnie tego nie liczyłem. Jest też kilka akcji plastycznych, projektów kulturowych – ale spektakli było najwięcej. Wszystkie zagraliśmy jakieś 500 razy. To nawet nie tak dużo jak na te 40 lat. Nigdy jednak nie byliśmy instytucją repertuarową, nie biliśmy rekordów wystawień.

Nie damy rady wrócić do każdego, ale gdybyś spojrzał na nie wszystkie jak na całość, jedność, to jaki byłby to spektakl?

– Moja wędrówka przez życie to taka peregrynacja, gdzie każdy spektakl jest słupkiem, przydrożnym kamieniem. Nigdy nie miałem ściśle wytyczonej trasy do przejścia czy zrealizowania. Gnały mnie ciekawość życia i marsz ku nieznanemu. Gdy budowałem dom albo robiłem spektakl, nigdy z góry nie wiedziałem, jaki będzie ostateczny efekt. Robię to w dialogu z samym sobą, spieram się, zadaję nowe pytania, podążam spontanicznie, nieregularnie w dal. Nigdy nie wiem na początku, jak i czym to się skończy.

Wiele twoich spektakli krąży wokół literatury, inspiruje się dziełami klasyki, muzyką, choć wszystko filtrujesz przez własne doświadczenie. Podasz jakieś nazwiska, tytuły?

– Z jednej strony, były to spektakle autorskie, z drugiej – wiele projektów edukacyjnych. Tu przydaje się formuła teatru performatywnego, teatru czytania, improwizacji. Nie zawsze drogą jest domknięty tekst, którego trzeba się nauczyć na pamięć. Sięgam po różnych autorów. Jeśli się pojawia Szekspir, to znaczy, że jest dla mnie, jeśli Dostojewski – podobnie. Tych inspiracji jest dużo. Mam też wielu takich autorów, którzy nigdy nie zostali zaadaptowani w jakąś formułę czy to edukacyjną, czy spektaklu, ale byli ważni jako inspiracje. Od dziecka byłem molem książkowym i nawet na studiach zdarzało mi się coś zaniedbać, bo po prostu się zaczytałem i znikałem w innym świecie.

Jeśli miałbym przywołać nazwiska z tradycji teatralnej, na pewno byliby to Beckett, Gombrowicz; z poetyckiej Schulz, Leśmian; wymieniony wcześniej Dostojewski. Poza tym literatura rosyjska przełomu XIX/XX w.: Czechow, Gogol. Zawsze też ważni byli dla mnie Amerykanie – Hemingway, dramaty O'Neilla. Z europejskiej tradycji istotny był dla mnie Albert Camus. No i poezja – zawsze, najróżnorodniejsza, gdzie w krótkiej formule można zawrzeć cały świat. Lakoniczność jest dla mnie ważna – nie potrafiłbym robić spektakli wielogodzinnych. A tu poezja ma ogromną siłę rażenia i magię wielości języków, sposobów mówienia.

A motywy religijne?

– Kiedyś jakiś ksiądz powiedział do mnie, że skoro ponad 90% Polaków to katolicy, to i ja pewnie jestem katolikiem. Na co ja: nie, ja jestem wyznania ekumenicznego. Nie ma czegoś takiego – on na to. A ja – że jeśli tak deklaruję, to znaczy, że jest. Wyobrażałem sobie zawsze, że ktoś pewnie zarządza tą Drogą Mleczną, i taka to moja wiara… Robiłem rzeczy teatralne inspirowane tekstami biblijnymi, modlitwami wszelakimi, pieśniami religijnymi. Czytają je teraz jako teksty pocieszenia, wsparcia, źródło siły dla wielu ludzi. Nigdy jednak konfesyjnie. Jeśli coś jest, jakaś transcendencja dająca ludziom nadzieję na to, że czeka ich jakaś sprawiedliwość – to dobrze. Również tam szukałem pomysłów i odniesień.

No to jeszcze muzyka, która zawsze jest ważna w twoich spektaklach. Czy tu jest jakiś klucz doboru, sympatie?

eprasa.pl 25e4991eaf

MAZURSKICH PAGÓRKÓW



„W malinowym chruśniaku" według Bolesława Leśmiana. Radzie, 8 sierpnia 2026 r.

– Zawsze wyobrażałem sobie powstanie naszego świata w taki sposób, że najpierw z chaosu wyłoniła się muzyka, dopiero potem wszystko inne. I tak w naturalny sposób idę w tę muzykę. Jest w niej przestrzeń niedopowiedziana, niezamknięta, nieostateczna. Jest magia – ktoś bierze nuty i wyczarowuje piękny świat. Bardzo chętnie zapraszam też muzyczki i muzyków do współtworzenia spektakli. Myślę, że nawet jeśli kiedyś nie będę już robił spektakli, z muzyką nie rozstanę się nigdy.

Twój teatr jest taki mniej oficjalny, pozasystemowy, choć nie w sensie politycznym.

– Najszerzej mówiąc, to jeden z bardzo wielu teatrów offowych.

Czym jest dla ciebie „robienie" teatru offowego w Radziach, mazurskiej wiosce, w której żyjesz na co dzień?

– Przez prawie 12 lat byłem takim w miarę solidnym pracownikiem teatru instytucjonalnego, repertuarowego. Ale poszedłem swoją drogą. Nie jako buntownik i radykalny przeciwnik formuły oficjalnej – w każdym dużym mieście jest potrzeba jej istnienia. Ja jednak chciałem być sam dla siebie sterem, żeglarzem, okrętem…

I morzem.

– W klasycznym teatrze instytucjonalnym byłem za bardzo zamknięty, nie mogłem wyjść poza jego formułę. Jako aktor byłem zakładem świadczącym usługi na rzecz tego teatru, na rzecz pewnych pomysłów inscenizatorów. Starałem się robić to jak najlepiej, służyć tej formule, ale od początku była we mnie potrzeba, by być właścicielem swojego czasu i wyobraźni.

Moja wędrówka przez życie to taka peregrynacja, gdzie każdy spektakl jest przydrożnym kamieniem.

Nie odnajdywałeś się w tradycyjnej formule „od godz. 7 do 15"?

– Teraz pracuję zawsze – czyli wtedy, kiedy chcę i kiedy nie przeszkadzam sąsiadom. Ale jak stukam w klawisze laptopa, to nikomu nie wadzę. Zbudowałem sobie taką odosobnioną, umiejscowioną poza domem pracownię na czterech nogach – jak gołębniki na Śląsku. Moje podwórko ma 10 ha, mam zatem swój spacerniak, sporo drzew, które wraz z Teresą (żoną i scenografką – przyp. red.) sadziliśmy. Łącznie posadziliśmy 8 ha lasu. Mamy też staw, gdzie pływamy – czasem wyłowię z niego jakiegoś szczupaka. Jednym słowem, teatr teatrem, ale ja żyję jak stary Mazur. Tak jak to pamiętam z dzieciństwa. Zawsze chciałem na te moje Mazury wrócić. I wybrałem na dom i na życie miejsce o założeniach amfiteatralnych: są pagóry, wszystko jest w jednym kawałku.

To twoje 10-hektarowe podwórko bardzo często było też po prostu sceną – lubiłeś spektakle plenerowe: przyroda, naturalna scenografia, ogień… A skąd właściwie wzięła się nazwa IOTA?

– To najmniejsza litera grecka: na początku jest takie maleństwo, a potem zapraszam innych i nagle jest nas kilkoro. A jak robiłem plenery, to nieraz było i kilkadziesiąt osób. Niektórzy wracają w kolejnych

eprasa.pl 25e4991eaf



Zbigniew Waszkielewicz jako Szczęściarz oraz Izabela Frąckiewicz jako Ruszałka w „Słowie o szczęściu".

spektaklach, inni tylko przemknęli przez teatr, jeszcze inni/inne poszły swoją drogą, także aktorską. Na orbicie Teatru IOTA jest pewnie z kilkaset osób. Nigdy nie zamierzałem robić stałego składu, ten ruch ludzki jest dla mnie bardziej owocny.

To bardziej model życia niż pracy zarobkowej.

– W opozycji do teatru instytucjonalnego jest jedna rzecz, która łączy teatry offowe: nie mają stałych subsydiów, co roku trzeba się starać o środki. I to nie zawsze jest łatwe i nie zawsze kończy się sukcesem.

Czyli oprócz bycia scenarzystą, reżyserem, aktorem zajmujesz się także zdobywaniem grantów?

– Nigdy nie wiesz, ile dostaniesz pieniędzy, nawet na pomysł podobnie ważny jak w przeszłości. Czy tyle samo, czy więcej, czy mniej. Oczywiście, jak to robisz już jakiś czas, tak jak my na Warmii i Mazurach, to masz jakichś podstawowych „dawców krwi", takich, którzy nas znają, więc zawsze coś uzbieramy. Teraz 40. urodziny Teatru IOTA to „zadanie publiczne" – wspierają nas i gmina Wydminy, i miasto Giżycko, i powiat giżycki, i urząd marszałkowski. A jak jeszcze się dołoży Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – jak to było w tym roku – to już zaczynam myśleć z większym rozmachem o kolejnym roku.

Teatr offowy jest często kojarzony z teatrem bardzo politycznym. U ciebie nurtami dominującymi są zmysłowość, osobiste doświadczenie, poetyckość, pakiet pytań metafizycznych. Nie uciekasz jednak od poruszania kwestii, które można nazwać społecznymi czy politycznymi. Jak widzisz ten balans? Jakie idee ci towarzyszą?

Robiłem rzeczy teatralne inspirowane tekstami biblijnymi, modlitwami, pieśniami religijnymi. Czytają je teraz jako teksty pocieszenia, źródło siły dla wielu ludzi.

– Sam napisałeś scenariusz do jednego z moich projektów edukacyjnych, o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Robiliśmy np. projekty debat o naszym otoczeniu, o tym, jak wyobrażamy sobie obecność w nim wielkich wiatraków. Z naszych doświadczeń korzystała potem rada gminy Wydminy.

Ale choć zdarzały nam się wycieczki w politykę albo w sprawy społeczne, to generalnie mnie, nas, zajmuje kondycja człowieka – te stare, przeklęte pytania: skąd przybyłeś, dokąd zmierzasz, jakie drogowskazy napotykasz. Szukam na to metafor, by wszystkiego do końca nie dopowiedzieć. Zawsze zostaje jakaś tajemnica. Nie umiem w „kawa na ławę" – to nie jest teatr dydaktyczny czy pouczający.

Zostałeś w te 40. urodziny doceniony: resort kultury odznaczył cię Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", wysłuchałeś wielu miłych słów. A gdybyś spróbował popatrzeć na to wszystko z zewnątrz – jakie miałbyś życzenia dla siebie i dla Teatru IOTA?

– Najciekawszy jest ten spektakl, który dopiero się wyłania, zbliża. Czyli życzę sobie kolejnych premier. Ostatnio zajmowałem się szczęściem, pojawiły się zarysy moich obaw przed sztuczną inteligencją, jak nieproszony gość wraca temat wojny.

W ostatniej sztuce próbowałem powiedzieć, że wychowanie dla wojny, dla ginięcia za tę kreskę na mapie zwaną granicą jest straszne. Władza lubi straszyć wojną, a potem wydawać miliardy na zbrojenia, a przecież nie starcza na edukację, zdrowie, kulturę.

Gdybyś miał wymienić kilka słów – filarów twojej wizji teatru, to jakie by one były?

– Nienawiść. Brak uważności. Wojna i pokój. Poezja, muzyka, przyroda.

Jak przyroda, to jaki ptak?

– Nie umiem wybrać jednego. Odzywa się moja chłopska natura, bo jednak do dziewiątego roku życia mieszkałem na wsi. Myślę też, że ziemia należy do wszystkich. Jak pogodzić to ze świadomością, że 500 osób posiada więcej niż miliardy najbiedniejszych mieszkańców Ziemi? Nie należę do żadnej partii, ale myślę lewicowo, dlatego też jestem czytelnikiem „Przeglądu", tygodnika, który nie jest organem partyjnym.

Może spróbowałbyś zaprosić czytelników na kolejny spektakl Teatru IOTA?

– Zapraszam na spotkanie z opowieścią o kondycji ludzkiej, o tym, co nam grozi, czego pragniemy. Na spotkanie oko w oko, bez pośrednictwa technologii cyfrowej, do rozmowy o naszym katharsis, o szczęściu, o miłości. Ze sceny, nawet jeśli to tylko pagórek mazurski, wszystko to wybrzmiewa lepiej. Zapraszam.

Roman Kurkiewicz

FOT. BARŁOMIEJ ZYLLA (2), T. WASILEWSKA-BIENIEK

eprasa.pl 25e4991eaf

Gra o przyszłość harcerstwa

Małgorzata Żuber-Zielicz

Książka „Moja gra o harcerstwo" Ryszarda Pacławskiego to fascynujące świadectwo z czasów polskiej transformacji. Autor, jako naczelnik ZHP w latach 1990-2000, przeprowadził organizację przez burzliwy okres zmian ustrojowych. To nie suchy dokument, lecz pełna emocji relacja człowieka, który musiał ochronić kilkusettysięczny ruch wychowawczy przed polityczną burzą, a nawet próbami jego likwidacji.

Początek lat 90. przyniósł ZHP potężne wyzwania. Organizacja stała się celem ataków ze strony nowo powstających, prawicowych ruchów skautowych. Zarzucano jej zbyt bliskie związki z dawnym ustrojem. Pacławski opisuje jej walkę o przetrwanie i zachowanie tożsamości. Zamiast ulec presji radykalnych rozliczeń, postawił wówczas na reformę, apolityczność i unowocześnienie struktur. Książka bez cenzury pokazuje ówczesne napięcia ideowe – w tym trudne debaty z tradycjonalistami i harcerzami Szarych Szeregów.

Największym sukcesem tej strategii było ponowne przyjęcie ZHP do światowych organizacji skautowych, jako jedynej organizacji polskiego harcerstwa. Związek udowodnił, że potrafi płynnie połączyć dotychczasowe dziedzictwo z demokratyczną rzeczywistością. Autor pisze jednak o kosztach tych zmian: o goryczy wywołanej rozłamami w środowisku i niezrealizowanych planach budowy jednego związku – ponad podziałami.

Dynamiczna narracja Pacławskiego pozwala zrozumieć mechanizmy transformacji, pokazane z rzadko spotykanej perspektywy. To ważna lektura dla każdego, kto chce zobaczyć lata 90. bez czarno-białych klisz, przez pryzmat budowania nowoczesnej organizacji wychowawczej.



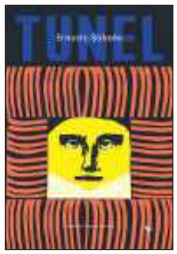
Ryszard Pacławski, *Moja gra o harcerstwo*, Fundacja Historia i Kultura, Warszawa 2026

Przegląd
Sprawdź ARCHIWUM PRZEGLĄDU
Znajdziesz w nim wszystko! Od powstania tygodnika w 1999 r.
Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów.
A W PREZENCIE E-BOOK
„Jak ja to widziałem. Wspomnienia z życia w trzech ustrojach" prof. Andrzeja Karpińskiego


tygodnikprzeglad.pl/archiwum/

eprasa.pl 25e4991eaf

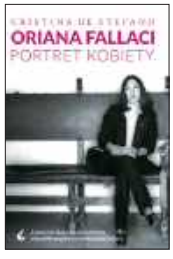
MIĘDZY OKŁADKAMI



Ernesto Sábato
Tunel
tłum. Zuzanna Geremek
Cyranka, Warszawa 2026

Nowe wydanie kultowej powieści, która jest fascynującym studium szaleństwa i toksycznej obsesji. Główny bohater, malarz Juan Pablo Castel, z miejsca przyznaje się do uśmiercenia Marii Iribarne – jedynej kobiety, w której dostrzegał bratnią duszę zdolną pojąć jego skomplikowaną naturę. Właśnie to przeczucie wyjątkowej więzi i pragnienie absolutnego zespolenia stają się początkiem jego upadku. Sábato nie tyle przedstawia historię romantycznej miłości, ile obnaża jej destrukcyjny, wypaczony wariant. Wyobcowany Castel, kierowany mroczną zazdrością oraz paranoją, zamienia relację w siatkę urojeń i manipulacji. Próba zawłaszczenia drugiego człowieka pcha go w nieuchronną udrękę, ukazując potęgę obezwładniającej samotności. Tytułowy tunel staje się metaforyczną przestrzenią izolacji – szczelnym kloszem egoizmu, z którego bohater nie potrafi się wyrwać.

Rafał Pikuła



Cristina De Stefano
Oriana Fallaci. Portret kobiety
tłum. Alina Pawłowska-Zampino
Sonia Draga, Katowice 2026

Taki obrazek: hotelowy bar w Sajgonie, czterej włoscy dziennikarze zamawiają aperitif, a pytani, czy coś świętują, odpowiadają: „Nie, to ze strachu. Przyjechała Oriana". Budziła respekt kolegów, podziwiali jej talent, ale bali się „nieprzyjemnego charakteru", wybuchów złości, gdy ktoś jej przeszkadzał i nie dostawała tego, co chciała. Zbyt przebojowa, zbyt sławna już podczas wojny w Wietnamie, „nieznośna", choć urocza… Paradoksalnie reporterki na froncie nie były wtedy czymś nadzwyczajnym – ale w prasie amerykańskiej, nie włoskiej. Drugi paradoks: armia amerykańska wpuszczała korespondentów niemal wszędzie, mimo że jej rzecznik prasowy miewał pretensje o wydźwięk tekstów Fallaci. Ta mówiła, co myślała, więc dla wielu była niewygodna. Ale w czytelniku budzi sympatię. De Stefano pokazuje i dziewczynkę łączniczkę partyzantów w czasie II wojny, i krnąbrną uczennicę, i studentkę, później początkującą dziennikarkę wyglądającą zbyt młodo, by ją traktować poważnie, i kobietę, która przez miłość stawała się zbyt krucha, i wreszcie śmiertelnie chorą, a skoncentrowaną na pracy. Nie gloryfikuje swojej bohaterki, ale czyni ją bardzo nam bliską.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ



Ucieczka: tam i z powrotem

Świat psychotropów wydaje się w „Adrenalinie" ucieczką przed łże-życiem na Pradze, powalonej przez reguły eksploatującej podległości turbokapitalizmu. Jednak wyzwolenie nie nadchodzi. Ucieczka Marlenki i innych musi się skończyć katastrofą. Miłość okaże się tylko chwilowym przystankiem w nieustannym pędzie, narzucanym przez instynkt przetrwania.

Nie można żyć na wiecznym „kopie", zwłaszcza gdy na horyzoncie nie pojawia się żaden powód, dla którego byłoby warto. Spektakl Ewy Galicy przenosi nas w sieć uwikłań ekonomicznych, społecznych i kulturowych, w którą rzuceni są młodzi bohaterowie daremnie poszukujący swojego miejsca. Nie oferuje pokrzepienia, przestrzega przed upadkiem, który czeka każdą/każdego, kto próbuje się wyłgać od życia, ale rzeczywistości nie zmieni. Młoda obsada uwiarygodnia zagubienie pokolenia, które woła o ratunek.

Osobnym torem biegnie opowieść o odchodzącym świecie warszawskiej Pragi, która miała i ma (?) oryginalny koloryt, rozpoznawalność, swoje hierarchie i dążenia. To świat, który znika, wart opisu i namysłu, tu jedynie migawkowo zarysowany.

Tomasz Miłkowski

„Adrenalina", tekst i dramaturgia Anna Mazurek, reżyseria Ewa Galica, Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera, Mała Scena, premiera 13 czerwca 2026

NA EKRANACH



Powiedz mi, co czujesz,
reż. Łukasz Ronduda, prod. Polska, w kinach od 18 września

„Powiedz mi, co czujesz, a powiem ci, kim jesteś i czy mamy szansę stworzyć zdrowy i udany związek" – tak mógłby rozwinąć tytuł najnowszego filmu Łukasz Ronduda, by przekazać widzom, o czym dokładnie opowiada jego projekt. Śledzimy tu losy dwójki artystów, Patryka (Jan Sałasiński) i Marii (Izabella Dudziak), którzy walczą o swoją sztukę, miłość, przy okazji konfrontując się z demonami przeszłości. On wzorowany jest na artyście Patryku Różyckim, ona – na postaci Karoliny Balcer. Mamy więc do czynienia z rodzajem biografii fabularyzowanej, w której prawda przeplata się z fikcją. Tym sposobem Rondudzie udało się nakręcić przejmujący dramat o młodym pokoleniu, które na głos mówi o swoich traumach i rzuca im rękawicę. Ale czy trudne wspomnienia z dzieciństwa nie wpłyną na ich relację? A może młodzi postanowią wybrać siebie i związek nie będzie w stanie przetrwać? Odpowiedzi na te i inne pytania znajdziecie w być może najlepszym tytule Rondudy z jego bogatej filmografii.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARTEK WARZECHA, KINO ŚWIAT, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 25e4991eaf



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Regeneracja: myślenie i strajk zmienią świat

Ktoś powie – a nawet ja sam mógłbym to powiedzieć – że jest mrzonką przypisywanie „myśleniu" takiej mocy sprawczej, ale polemika z samym sobą bywa konstruktywna bezmiernie. A porzucając takie przekonanie, gubimy sens naszych zmagań z niesprawiedliwością i niedoskonałością świata. Przywiązujemy więc wagę do wydarzeń i propozycji, które wciąż nie pozwalają ostatecznie zwątpić, że zmiana, odmiana i regeneracja świata jest możliwa. Z takim przekonaniem wróciłem z dwudniowego Kongresu Regeneracja, zorganizowanego na początku września po raz piąty przez Polską Sieć Ekonomii. Znów w Dąbrowie Górniczej, w tamtejszym imponującym domu kultury (wybudowanym w początkach PRL, nie zapominajmy; kapitalizm nigdy niczego podobnego nie stworzy, bo to nie generuje zysku).

„Musimy organizować się, poznawać, tworzyć ze sobą razem, przekroczyć alienację – tak rozumiemy rozwój", mówił dr Jan Oleszczuk-Zygmuntowski podczas inauguracji. I dalej: „Dziś zamiast toksyn z kominów fabrycznych i szlamu lanego do naszych rzek doświadczamy gównowacenia infosfery i prania mózgu do posłuszeństwa technofaszystom. Tak, to jest globalny sztorm, przez który płyniemy naszym malutkim statkiem Polska. W takich warunkach musimy wytyczyć nasz nowy model rozwoju. Niektóre środowiska uważają, że ten rozwój to płynięcie z prądem, dryf rozwojowy. Liczą, że Polacy zegną kark przed okupantem z Big Tech i pogodzą się z rolą prowincji, gdzie ulgi i przywileje podatkowe należą się neosarmatom, rentierom i posiadaczom fortun – tylko nie pytajcie, jak je zbudowali, bo was pozwą. A od zapaści szpitali, edukacji, naszych miasteczek i wsi, rozpadu tego, co publiczne, wspólne, nasze – odwróci się uwagę jakimś centralnym totemem inwestycyjnym. W imieniu Polskiej Sieci Ekonomii podkreślam, że nie ma i nie będzie naszej zgody na nowy model inny niż Regeneracja".

Z kolei prof. Zofia Łapniewska wskazywała, że walka z patriarchatem nie jest „tematem kobiecym" na marginesie ekonomii, lecz „warunkiem sprawiedliwej gospodarki". Wyrażając jedną z głównych tez kongresu, tłumaczyła: „To, co możemy zrobić, to uwidocznić troskę, docenić ją i sprawiedliwie ją podzielić – to znaczy odebrać patriarchatowi jego ekonomiczny fundament. A troska uwolniona od patriarchatu staje się siłą, która zmienia gospodarkę u samych podstaw. To właśnie robimy my, jako Polska Sieć Ekonomii – demokratyczna i pluralistyczna wspólnota naukowczyń i naukowców, aktywistek i aktywistów, praktyczek i praktyków, których łączy przekonanie, że ekonomia może służyć ludziom i planecie, a nie odwrotnie".

Kilkadziesiąt paneli obejmowało rozmowy o innowacyjności, klimacie, podatku cyfrowym, dochodzie podstawowym, krótszym czasie pracy, ekonomii społecznej, feministycznej, ochronie zdrowia, nauce, rolnictwie (ekonomia kradzieży czy ekonomia daru?), mieszkalnictwie, strajkach (które się wygrywa) i wiele innych. Nie sposób było wziąć udział we wszystkich spotkaniach. Szczegółowy program można zobaczyć pod linkiem: plse.org.pl/program-kongresu-regeneracja/. Z czasem dostępne będą zarejestrowane panele.

Kongres zawdzięcza swoją wyjątkowość co najmniej kilku elementom, w tym olbrzymiej różnorodności panelistów i panelistek, od osób ze środowisk akademickich po aktywistów i aktywistki, działaczy i działaczki związkowe, studentki i studentów. Byli praktycy i teoretycy. Panele prowadzono sprawnie; różnorodność stanowisk zapewniona została przez dyskutantki i dyskutantów, a nie kretyński, medialny przymus „drugiej nóżki", jakiegoś parytetu partyjnego. Dyskusje były zacięte, ale dzięki temu bardziej merytoryczne, głos zabierali ci i te, których legitymowały ich kompetencje, aktywność, zaangażowanie. To dawało spory oddech rozmowom, pozwalało nie tracić czasu na jałowe wystąpienia znane z młócek medialnych.

Gdybym miał wskazać, co najbardziej wybrzmiało w tych debatach o naszej przyszłości, to nawet nie wielość spojrzeń czy nowe pomysły polityczno-społeczno-ekonomiczne, ale determinacja w walce o zmianę. A ta determinacja miała w bardzo wielu kwestiach imię strajk. Przekonywanie, argumenty, fakty, zależności, konsekwencje i wnioski nie wystarczają, jeśli nie stoi za nimi gotowość walki o zmianę, walki, której na imię strajk – bezprzemocowej, z tymi, którzy reprezentują interesy najbogatszych, uprzywilejowanych, będących panami dyskursu dominacji, przemocy i wyzysku.

Wisienką na torcie było wystąpienie Cory'ego Doctorowa, pisarza SF, aktywisty cyfrowej suwerenności i jednego z najważniejszych orędowników sprawy odzyskania dla sfery publicznej i dobra wspólnego zdobyczy rewolucji cyfrowo-technologicznej. Bo te dziś służą interesom niewielu, dla jak największych zysków. Jego diagnoza zawiera się w tytule wydanej także w Polsce książki „Gównowacenie. Jak cyfrowi giganci zmieniają nasz świat na gorsze". Kongres Regeneracja współbrzmiał z tą diagnozą i dawał nadzieję na realną zmianę, która jest dla nas koniecznością.

I ja tam byłem i panel prowadziłem, dziękuję i namawiam do skorzystania. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Psychiatrzy uważali, że jest lepiej

Obciążenie macierzyństwem i jednoczesne zmaganie się z problemami zdrowia psychicznego jest doświadczeniem wielu kobiet

Rozmawia Dominika Soszyńska

Zakończył się jeden z najgłośniejszych w USA procesów kryminalnych ostatnich lat. To sprawa Lindsay Clancy oskarżonej o zabójstwo trójki własnych dzieci. Jej czyn nosi znamiona próby rozszerzonego samobójstwa, w którym targnięcie się na swoje życie jest powiązane z zabiciem osób najbliższych. Po pięciu tygodniach procesu ława przysięgłych nie potrafiła osiągnąć wymaganej jednogłośności. Najprawdopodobniej rozpocznie się kolejny proces, w którym nowo wybrani ławnicy podejmą ponowną próbę rozstrzygnięcia czy kobieta w czasie popełniania morderstwa była w pełni poczytalna.

Diagnoza psychiatryczna ma dla werdyktu ławy przysięgłych istotne znaczenie. Powołani przez obronę eksperci argumentowali, że Lindsay Clancy cierpiała na psychozę poporodową.

– Na podstawie dostępnej dokumentacji i opinii biegłych psychiatrów i psychologów można stwierdzić, że istnieją przesłanki do rozpoznania psychozy i uznania niepoczytalności oskarżonej. Trzeba jednak zastrzec, że nie każdy stan psychozy automatycznie powoduje niepoczytalność. W podobnych sprawach sądowych zazwyczaj zadaniem obrony jest przedstawienie dowodów na niepoczytalność oskarżonej. Wynikająca z prawa stanu Massachusetts specyfika tego procesu polegała na tym, że to prokuratura miała przedstawić dowody poczytalności oskarżonej w chwili popełnienia zbrodni.



DR JACEK DĘBIEC
– polsko-amerykański psychiatra, psychoterapeuta, neurobiolog i filozof. Jego prace publikowane były w czołowych pismach naukowych, takich jak „Nature" czy „Biological Psychiatry". Przez 12 lat pracował jako profesor psychiatrii i neurobiologii na Uniwersytecie Michigan, gdzie m.in. sprawował opiekę nad pacjentkami w okresie okołoporodowym.

Kilka miesięcy przed zabójstwem dzieci i próbą samobójczą kobieta była świadoma, że znajduje się w poważnym kryzysie psychicznym. Leczyła się psychiatrycznie. W ciągu zaledwie czterech miesięcy różni lekarze przepisali jej 13 różnych leków psychotropowych.

– Zauważmy, że ta opieka nie opierała się na stabilnym kontakcie z jedną osobą, która regularnie sprawdzałaby, jak pacjentka się czuje, jakie ma objawy i jak się one zmieniają pod wpływem różnych leków. Okres po porodzie to czas o podwyższonym ryzyku wystąpienia wielu zaburzeń psychicznych. Zachodzące wtedy duże zmiany biologiczne, takie jak gwałtowna zmiana poziomu wielu hormonów i utrata snu, stres związany z opieką nad dzieckiem, nowe obowiązki, brak czasu na zajęcie się sobą, częste odizolowanie społeczne sprawiają, że psychika jest wystawiona na wielką próbę. Czasem, w jednym-dwóch przypadkach na 1 tys. porodów, może to prowadzić do zaburzeń psychotycznych.

Sprawujący opiekę psychiatryczną nad Lindsay Clancy rozpoznali u niej depresję poporodową i, nie widząc poprawy jej stanu, często zmieniali jej leki. Clancy przyjmowała po kilka substancji psychotropowych naraz, w tym leki przeciwdepresyjne, przeciwpsychotyczne, stabilizujące nastrój, nasenne i uspokajające. Niektórzy specjaliści zastanawiają się, czy pogorszenie jej stanu nie wiązało się właśnie ze stosowaniem wielu leków i ich częstą zmianą. Udokumentowano, że pewne leki, np. popularne antydepresanty z grupy SSRI (inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny), mogą powodować

eprasa.pl 25e4991eaf

pobudzenie, wzmożony niepokój, zaburzenia snu oraz myśli samobójcze. Niektóre leki przeciwpsychotyczne również mogą powodować pobudzenie i agresję wobec innych. Takie informacje znajdziemy na ulotkach tych leków.

Szukanie pomocy u różnych psychiatrów wyglądało u niej jak wędrówka od Annasza do Kajfasza.

– Z dokumentów, które zostały ujawnione opinii publicznej w trakcie przesłuchań sądowych, wynika, że negatywnie reagowała na niektóre leki. Na przykład kiedy zaczęła przyjmować Zoloft, popularny lek zawierający sertralinę należącą do grupy SSRI, i jego dawkę zwiększono z 25 mg do 50 mg, znacznie pogorszył się jej sen. Decyzję o takim leczeniu podjęła młoda psychiatra, która była zaledwie miesiąc po zdaniu egzaminu specjalizacyjnego.

Z zeznań świadków wynika, że oskarżona była dobrą osobą i bardzo kochała swoje dzieci.

– Zarówno rodzina, jak i współpracownicy podkreślali, że była dobrą pielęgniarką i kochającą matką. Świadkowie zeznali, że przed chorobą i leczeniem wykazywała się dużą empatią. Nie mówimy więc o psychopatii, którą zresztą wykluczyły badania psychologiczne, ani o trwałym wzorcu zachowań agresywnych i przemocowych. Doszło do zaskakującego, tragicznego w skutkach czynu.



Lindsay Clancy na sali sądowej. Plymouth w stanie Massachusetts, 19 sierpnia 2026 r.

Zdaje się, że rodzina była obecna i gotowa do pomocy.

– Rodzina pomagała, jak mogła, ale jej udział z leczenia praktycznie wyłączono, gdyż nie mieścił się w paradygmacie specjalistów leczących Lindsay Clancy. Choć to powinno być standardem. Jako lekarz biorę odpowiedzialność za pacjenta od początku do końca: nie tylko badam i przepisuję lek, ale też sprawdzam, jak działa, angażuję rodzinę, edukuję ją na temat tego, jak wspierać pacjentkę – by mogła pomóc monitorować objawy i wiedziała, które mogą zwiastować stan zagrożenia wymagający leczenia szpitalnego. Trzeba podkreślić, że zaangażowanie rodziny Lindsay Clancy w jej leczenie było minimalne. Nie uczestniczyła w cyklicznych spotkaniach z zespołem leczącym Clancy, nie otrzymywała regularnych wskazówek, jak ją wspierać i monitorować objawy jej choroby, jak na te objawy reagować.

Osoby przeżywające kryzys psychiczny podejmują próby komunikowania tego na zewnątrz. Ale to, co komunikują, jest często ignorowane.

Jak to możliwe, że najbliżsi Lindsay Clancy, w czasie kiedy doszło do zabójstwa, byli przekonani, że jej stan się poprawia?

– Clancy była pielęgniarką, a w zawodzie pielęgniarskim bardzo często się uczy, by nie rozczulać się nad sobą i nie ujawniać swoich problemów. Druga rzecz to kulturowy etos – matka trójki dzieci ma zaciskać zęby, zasuwać, opiekować się, pracować. Spekulując, możemy sobie wyobrazić, że Lindsay po prostu przestała już informować rodzinę o nasilających się objawach: natrętnych myślach o odebraniu sobie życia czy skrzywdzeniu dzieci. Tym bardziej że – jak potwierdza psycholog – przeżywała bardzo intensywne lęki, że dzieci zostaną jej odebrane. Miała poczucie, że nie może się tym dzielić, bo ta wiadomość zostanie przekazana odpowiednim służbom.

Badania psychologa pokazują też, że kobieta czuła się coraz bardziej bezradna, bezsilna i osamotniona.

– To uczucie izolacji również mogło powodować, że była coraz mniej skłonna mówić o tym, co przeżywa. Otwarciu się nie sprzyjały także krótkie wizyty psychiatryczne – ze swoją psychiatrą spotykała się wyłącznie online, a wizyty trwały nie dłużej niż 20 minut, co wynikało ze stylu pracy lekarzy, określonego przez ograniczenia wielu prywatnych ubezpieczycieli zdrowotnych.

Ale jej były mąż był świadomy tego, że miała mordercze myśli wobec dzieci.

– Tak. Podczas przesłuchania Patrick Clancy zeznał, że nawet w dniu poprzedzającym zabicie dzieci i próbę samobójczą rozmawiał z Lindsay i zapytał ją o to. Potwierdziła, ale on to zignorował. Jego zdaniem wyglądało jednak na to, że dobrze sobie radzi.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, REUTERS/FORUM

eprasa.pl 25e4991eaf

Mam poczucie, że cała ta historia składa się z ignorowania sygnałów ostrzegawczych.

– W przypadku samobójstw – w tym samobójstw młodych ludzi – często tak się dzieje. Osoby przeżywające kryzys psychiczny zazwyczaj podejmują próby komunikowania tego na zewnątrz. Ale to, co komunikują, często jest albo ignorowane, albo odczytywane nieprawidłowo. Dlatego coraz bardziej zamykają się w sobie i nie dzielą się swoimi myślami o samobójstwie, a na koniec, kiedy już do tragedii dochodzi, najbliżsi są zaskoczeni: „Jak to? Przecież wszystko wyglądało dobrze. Byliśmy przekonani, że jest lepiej".

Niestety, udział w bagatelizowaniu powagi stanu chorego mogą mieć leczący go specjaliści, których decyzje mogą usypiać czujność rodziny. Clancy była odsyłana do domu ze szpitali, w których szukała opieki, a jej telefony do centrum pomocy osobom w kryzysie psychicznym kończyły się odmową takiej pomocy. Jej objawy nie zostały ocenione jako dostatecznie poważne, aby zaoferować jej i jej rodzinie bardziej intensywną opiekę. Skoro specjaliści uważali, że jest lepiej, to dlaczego rodzina miała się martwić?

Wiemy też, że kobieta czuła się przeciążona nadmiarem obowiązków macierzyńskich.

– Jeżeli rodzice lub teściowie mogą co drugi dzień przyjść i zająć się dziećmi, matka ma czas na zajęcie się sobą – np. może się wyspać. Istotny jest poza tym udział partnera w opiece nad dzieckiem i matką. I podział obowiązków. Clancy zaczęła zaniedbywać nawet tak podstawowe czynności jak branie prysznica. Biegły psycholog, który ją badał, potwierdził, że kobieta czuła się coraz bardziej wyczerpana, z dnia na dzień miała coraz mniej siły, aby opiekować się dziećmi. Ta sytuacja obciążenia macierzyństwem, osamotnienia w trudach i obowiązkach, przy jednoczesnym zmaganiu się z poważnymi problemami zdrowia psychicznego, jest doświadczeniem wielu kobiet. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych.

Mówimy więc o środowiskowym niezaopiekowaniu się tą cierpiącą kobietą?

– I niezaopiekowaniu się jej rodziną. Przez 12 lat pracowałem jako psychiatra okołoporodowy w przychodni uniwersyteckiej, co nauczyło mnie, że problemy zdrowia psychicznego matki są zawsze problemami zdrowotnymi całej rodziny. Często, jeśli matka ma depresję poporodową, jej partner również wykazuje objawy depresji. Depresja rodziców w oczywisty sposób odbija się na dziecku, a im młodsze dziecko, tym te efekty mogą być bardziej dotkliwe i długotrwałe. Okres okołoporodowy jest też czasem zwiększonego ryzyka samobójstw matek i przemocy domowej, której najczęstszymi ofiarami są matki, ale i dzieci. Standard zatem powinien być następujący: pomagamy matce, ale opieką obejmujemy także całą rodzinę. Z pewnością możemy powiedzieć, że tutaj tego zabrakło.

Dominika Soszyńska

KSIĄŻKI

MOŻNA OSZALEĆ

Ponad sto lat temu w podkrakowskim Kobierzynie otwarto szpital psychiatryczny zaprojektowany według najmodniejszych wzorców. Był świadkiem dramatycznych wydarzeń XX w. i ewolucji psychiatrii – od izolacji po coraz bardziej humanitarne podejście do pacjentów.



Reporterka Krystyna Rożnowska po raz pierwszy odwiedziła szpital 40 lat temu. Rozmawiała z pacjentami stłoczonymi w szarych salach. Później wielokrotnie wracała do Kobierzyna. Poznała nie tylko historię szpitala, ale przede wszystkim uważnie słuchała ludzi – lekarzy, pielęgniarek i pacjentów. To dzięki tym rozmowom udało jej się napisać fascynujący reportaż ze środka osobliwego świata, jakim jest szpital psychiatryczny.

(red)

Krystyna Rożnowska, *Opowieść o szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie*, Mando, Kraków 2026



eprasa.pl 25e4991eaf



Oko w oko Tomasz Jastrun

Rozgoryczenie

W Wejherowie jak co roku Europejski Festyn Rodzinny. Niestrudzony organizator Longin Skrzypiński ma talent do zapraszania niezwykłych ludzi. W tym roku minister Żurek nie dojechał, a miałem dla niego książkę, ukazał się właśnie zbiór moich opowiadań „Raju nie będzie", mogliśmy za to Waldka oglądać w Sejmie, podczas tego już słynnego posiedzenia, na którym w trakcie przemowy Tuska była pisowska minister kultury szczekała. Nastąpiło więc zupełne zezwierzęcenie prawej strony naszego parlamentu.

Ale pojawił się w Wejherowie Wałęsa. On na scenie, a na widowni może nieco więcej niż 50 osób. Mam wrażenie, że Lech patrzy i oczom nie wierzy, mówi rozgoryczony: „Już więcej tu nie przyjadę, bo nas coraz mniej, aż myślę, czy było warto tak szarpać się z historią". Trochę mało taktownie, ale Wałęsa tak ma. Mam wobec niego mieszane uczucia, czemu niekiedy daję wyraz w tych felietonach. Ale było mi go trochę żal i Polski żal, w 45-tysięcznym Wejherowie na spotkanie z postacią jednak mityczną przychodzi garstka zainteresowanych, w wieku, w którym ludzie lubią mieszkać w domach opieki. Więcej było osób na spotkaniu z Magdaleną Parys, bardzo ciekawa osoba, pisarka, niemiecko-polska. Miała 13 lat, gdy wyjechała z Polski. Jej książki odniosły sukces nie tylko w Niemczech. Ale o niej, i dlaczego bije taka groza od sukcesu AfD w Saksonii, napiszę za tydzień.

•

Gdy Duda był prezydentem, unikano pewnych słów, wobec Nawrockiego już się ich nie unika. Kłamca – to łagodne określenie. W Dudzie był element błazeński, Nawrocki jest złowrogi. Prezydent ma ambicje, by stworzyć zaplecze intelektualne dla swojej misji. Zainicjował cykl wykładów w Klarysewie, na których sam jest obecny. Wystąpił Wildstein, tu można machnąć ręką. Ale pojawił się też specjalista od Becketta, autor cenionej powieści, Antoni Libera. Znam obu od lat. Ze zgrozą i niedowierzaniem obserwowałem dryf Antka w kierunku prawicy. Właściwie to już dopłynął do obłąkanego portu. Był w komitecie wyborczym Nawrockiego. Inteligentny, utalentowany. Co się stało?

Chyba łatwiej teraz zrozumieć, jak to możliwe, że wybitni intelektualiści i artyści uwierzyli kiedyś w hitleryzm i stalinizm, w stalinizm nawet bardziej powszechnie. W jakimś sensie im ktoś inteligentniejszy, tym potrafi być większym głupcem, bo ma sprawny aparat, by budować własny idiotyzm.

Libera wygłosił w Klarysewie płomienne przemówienie pełne horrendalnych bzdur, które go kompromitują. Małe cytaty: „Dzisiaj – zwłaszcza pod rządami wiernopoddańczej wobec Berlina Koalicji Obywatelskiej – jesteśmy na etapie systematycznego podporządkowywania rodzimej administracji, rynku pracy i zbytu centrom decyzyjnym za granicą. Krótko mówiąc: neokolonializm kwitnie, i to w najlepsze". I dalej: „Zwyciężyła rosyjsko-mongolska szkoła fałszu i zakłamywania rzeczywistości, tak celnie opisana przez Orwella". I jeszcze taki cytat: „Obecnie jest właściwie już zupełnie jasne, do czego zmierza ów proces, zwany niewinnie i wzniośle integracją, mającą otwierać nowy etap historii. Jest to nic innego jak kolejna próba podboju, tyle że nie środkami militarnymi, jak to bywało w przeszłości, lecz środkami

W Dudzie był element błazeński, Nawrocki jest złowrogi.

prawno-administracyjnymi i ekonomicznymi, a następnie stworzenia kontynentalnego tworu na podobieństwo imperium Karola Wielkiego, a jeszcze bardziej: Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, w którym to molochu pomniejsze państwa/narody byłyby prowincjami". Przecież to są propagandowe formułki odlane w gotowe metalowe formy skrajnej prawicy, ani jednej oryginalnej myśli. Jak w epoce stalinowskiej. A w końcu nie ma teraz tej potężnej presji historii, która była w hitlerowskich Niemczech i w stalinowskim imperium.

I jest kontekst – przytłaczająca większość znajomych Libery czyta jego słowa z oburzeniem, z niesmakiem, czasami z niedowierzaniem. Zwariował, mówią. Ja widzę w tym też element pychy, obaj z Wildsteinem są nią wypełnieni po brzegi. Nie dostali Nobla, a ta grafomanka Tokarczuk dostała. Powinniście to olać, koledzy, przecież ten Nobel to lewacka i liberalna nagroda, po co ten ból duszy? Wy macie swoje Orły Białe, choć ten orzeł, to prawda, już dawno zmienił się w kaczkę.

Jest tu jeszcze jedna zagadka. Po co do Klarysewa pojechał Czesław Bielecki, bliski mi, chociaż irytujący kolega z dawnej opozycji, architekt, błyskotliwy, znany z przekory, którą na pewno on sam nazywa niezależnością. Jego przyjaciel tak mi tłumaczy: „Chciał powiedzieć rzeczy nieprzyjemne Nawrockiemu". Nadal nie rozumiem. Przecież Nawrocki jest niereformowalny, jak Czesław mógł tego nie zauważyć. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Zbrodnia czy wykroczenie?

Afera Siemieńca w przededniu europejskiego startu polskich klubów

Wojciech Kuczok

Pomimo młodego wieku 34-letni Adrian Siemieniec jest uznawany za jednego z najlepszych polskich szkoleniowców. Ma za sobą nadzwyczaj udany początek kariery trenerskiej – wiosną 2023 r. przejął słabującą Jagiellonię i uratował ją przed degradacją, by już w następnym sezonie zdobyć z nią tytuł mistrzowski, a w kolejnych dwóch zająć miejsce na podium. Za każdym razem także wprowadzał klub do fazy ligowej europejskich rozgrywek. Powszechnie sądzi się, że w najbliższym czasie dostanie propozycję z topowej ligi europejskiej i może sobie w niej poradzić – o ile wcześniej nie zostanie mu powierzona piecza nad kadrą narodową.

Tymczasem w ostatnich dniach stał się negatywnym bohaterem afery, o której huczy całe polskie środowisko piłkarskie. O co w ogóle poszło? Dziennikarze śledczy Wirtualnej Polski dogrzebali się informacji o sytuacji bardzo wątpliwej etycznie i szczególnie ryzykownej w kontekście oczyszczania ligowej piłki z nieczystości po aferach korupcyjnych sprzed dekad (smród nie ulega przedawnieniu).

W maju, dwie kolejki przed finałem rozgrywek, walcząca o jak najwyższe miejsce Jagiellonia miała aż ośmiu zawodników zagrożonych karną pauzą w razie otrzymania kolejnej żółtej kartki. Sytuacja niecodzienna, niefortunna, trener martwił się o tzw. głupie żółtka i za wszelką cenę chciał uniknąć osłabienia przed ostatnim meczem. W trosce o to zdecydował się skonsultować z doświadczonym arbitrem. Wysłał mu wiadomość następującej treści: „Witam Panie Sędzio. Paweł [Raczkowski] dzisiaj Nam sędziuje, nie wiem jak podejść do tego tematu. Chce po prostu żeby z Nami w tym temacie współpracował. Jeżeli nie będzie wyjść i kartka się należy to oczywiście mi nic do tego, ale jeżeli może poczekać i Nas uprzedzić że ktoś jest blisko to będę mógł zareagować. Mamy finał sezonu u siebie. Chodzi mi o branie tego pod uwagę i pewną rozwagę. Czasami sa sytuacje ze ktos jest pol na pol, albo pracuje na kartkę" (pisownia oryginalna).

Czesław Michniewicz, który podczas 711 połączeń telefonicznych z Ryszardem „Fryzjerem" Forbrichem przegadał 27 godzin, nigdy nie usłyszał zarzutów, a przejął reprezentację Polski.

Sędzia Wójcik zasugerował mu, żeby pogadać w tej sprawie przed meczem z samym sędzią Raczkowskim, poinformował również o tej sprawie wyznaczonego arbitra. Siemieniec zgodnie z instrukcją podszedł do sędziego przed meczem, ale ten rozmowy odmówił. Żaden zagrożony kartki w meczu nie dostał, ale też sobie na nią w żaden sposób nie zasłużył. Pojawiły się jednak wątpliwości, czy to wyłącznie w wyniku zbiegu okoliczności. Koniec afery.

Młody trener na chwilę zgłupiał, pozwolił sobie na bardzo niefortunne, a nawet naganne sugerowanie arbitrowi „współpracy", ale doświadczony sędzia zachował zimną krew. Występek wszakże się dokonał, trener Jagielloni wkroczył na kruchy lód, bo wszelkie przedmeczowe naciski na arbitrów, lub choćby próby wywierania nacisku, są absolutnie zabronione. O przestępstwie jednakowoż mówić nie można, samą akcję SMS-ową należy przypisać raczej brakowi obycia w kwestiach regulaminowych niż wyrachowanej próbie działań korupcyjnych.

Niestety, dziennikarze śledczy wydali medialny wyrok, pisząc wprost o „sportowej zbrodni, chęci wymuszenia nieczystej gry i nieuczciwej przewagi swojej drużyny nad rywalami". I ja tracę do nich sympatię, bo sobie myślę, że dziennikarstwo śledcze powinno raczej polegać na tropieniu rzeczywistych afer niż na ich kreowaniu. Śmiem twierdzić, że wygrzebano sprawę Siemieńca (której PZPN od maja nie rozstrzygnął) jako kolejny brud obciążający obecnego prezesa PZPN. Nie jest bowiem tajemnicą, że Jagiellonia to klub najbliższy sercu Cezarego Kuleszy – zanim Kulesza objął najważniejszą funkcję w polskim futbolu, był wieloletnim prezesem klubu z Białegostoku i położył podwaliny pod jego obecną potęgę.

Kulesza prezesem PZPN jest nieudolnym i przaśnym, ale Siemieniec trenerem jest wybitnym. Naciski na to, by przykładnie go ukarać zawieszeniem lub nawet wykluczeniem, ergo złamać mu karierę, mam za małostkowe i niewspółmierne do winy; to wylewanie dziecka z kąpielą.

Czesław Michniewicz, który podczas 711 połączeń telefonicznych z Ryszardem „Fryzjerem" Forbrichem, odpowiedzialnym za hurtowe ustawianie i kupowanie meczów ligowych pod koniec XX w., przegadał w sumie 27 godzin, nigdy nie usłyszał zarzutów, a w końcu także

eprasa.pl 25e4991eaf

przejął reprezentację Polski. Donald Trump bezkarnie i bezczelnie wobec całego świata wpłynął na prezesa FIFA, który zawiesił karę za czerwoną kartkę zawodnikowi USA. W porównaniu z tymi gwałtami na etyce SMS-y Siemieńca są jak nieudolne próby podrywu, żądanie jego głowy to horrendalna bzdura.

W atmosferze społecznościowego linczu trener Siemieniec, na szczęście wsparty oficjalnie przez zarząd klubu, poprowadzi Dumę Podlasia w najbliższą środę w debiucie Ligi Konferencji. Jagę czeka wyjazd do Pireusu na mecz z Olympiakosem, drużyną formatu Champions League, która tego lata na transfery wydała kilka razy więcej, niż wynosi roczny budżet Jagiellonii. Właścicielem klubu jest grecki oligarcha Evangelos Marinakis, do którego należą



Adrian Siemieniec podczas meczu Jagielloni z Rangers F.C. Białystok, 6 sierpnia 2026 r.

Kulesza prezesem PZPN jest nieudolnym i przaśnym, ale Siemieniec trenerem jest wybitnym.

również angielski Nottingham Forest i portugalski Rio Ave – możliwości finansowe obu ekip są zatem nieporównywalne.

Grecy mają w kadrze doświadczonych reprezentantów, takich jak szwajcarski rozgrywający Remo Freuler, marokański napastnik Ayoub El Kaabi czy wracający z występów w lidze saudyjskiej Grek Kostas Fortunis, klubowa legenda. Jakieś nadzieje dla nas może budzić fakt, że w Pireusie też panuje tęgie zamieszanie, bo właśnie zwolniono po zaledwie trzech pierwszych meczach ligowych trenera José Luisa Mendilibara, który przed dwoma laty poprowadził Greków do triumfu w Lidze Konferencji. Ma go zastąpić baskijski szkoleniowiec Imanol Alguacil, niegdyś wieloletni coach Realu Sociedad, ściągnięty na pomoc z Arabii. Petrodolary greckiemu miliarderowi niestraszne, potrafi przebić oferty Saudyjczyków, w dodatku jest wściekły, że jego drużyna musi grać poniżej Ligi Mistrzów. O takich klubach jak Jagiellonia myśli jak o przystawkach do solidniejszych dań, czyli pojedynków z Milanem lub Marsylią.

Grecy obok Olympique Lyon wydają się najtrudniejszym rywalem podlaskiej drużyny, być może nawet poza jej zasięgiem, podobnie jak wylosowane ekipy z Premier League: Sunderland i Crystal Palace. Punkty za to obowiązkowo trzeba będzie zdobyć w Sofii z Lewskim i u siebie, z mistrzem Armenii Araratem Erywań. „Stykowo" zapowiadają się domowy mecz z Anderlechtem Bruksela i wyjazdowe starcie z Viktorią Pilzno.

W zeszłych sezonach, aby mieć pewność awansu do fazy pucharowej, trzeba było uciułać 11 punktów – obu polskim drużynom będzie o to szalenie trudno. Lech wylosował jeszcze gorzej, bo zmierzy się z takimi potęgami jak Bayer Leverkusen, Benfica, a na dzień dobry już w najbliższy czwartek zagra w Londynie z zeszłorocznym zdobywcą pucharu Ligi Konferencji, drużyną Crystal Palace. Choć londyńskie Orły też są po zmianie szkoleniowca – Austriak Oliver Glasner przeszedł do Nottingham – to jednak zastąpił go Pierre Sage, w zeszłym sezonie święcący triumfy w Lens (wicemistrzostwo Francji – czyli de facto mistrzostwo, bo PSG jest drużyną z kosmosu – oraz puchar kraju). Drużynę opuścili dwaj podstawowi obrońcy, ale Premier League to zupełnie inna bajka i każdy punkt urwany jej reprezentantom przez którąkolwiek z polskich drużyn będzie sensacją.

Lech zmierzy się także u siebie z Sunderlandem, poza tym czekają go wyjazdy do Leuven na mecz z wicemistrzami Belgii (Union Saint-Gilloise) oraz na szczęście trzy spotkania, w których będzie można powalczyć o pełną pulę: z OFI Kreta, Ferencvárosi i portugalskim Torreense. Żarty się wszakże skończyły, zaczyna poważna gra o to, byśmy w Europie grali regularnie na coraz wyższych poziomach.

W inauguracyjnej kolejce Ligi Mistrzów Polacy wystąpili w rolach drugoplanowych, ale szczególnie cieszy fakt, że dwaj nasi młodzi piłkarze, Wiktor Nowak i Oskar Kubiak, wyszli w podstawowym składzie praskiej Slavii. To jest przyszłość naszej kadry narodowej. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 25e4991eaf



Budowle Tikál stoją, opierając się upałom, wilgoci i huraganom, gdy domy zbudowane dziesiątki lat temu rozpadają się w pył?

Beton, który pamięta Majów

Technologia ukryta w dżungli

Kit Chapman

Jestem w lasach tropikalnych Ameryki Środkowej. Żeby się tu dostać, musiałem polecieć do stolicy Gwatemali, potem śmigłowcem na północ, do Flores, a na koniec autobusem do największego rezerwatu przyrody, zajmującego jedną piątą powierzchni kraju.

To miejsce aż kipi energią życiową i chemią. W wilgotnych pniach drzew przesiadują żaby, wysyłając sygnał ostrzegawczy za pomocą olśniewającej feerii odcieni czerwieni, żółci i błękitów. Pokarm w ich organizmach ulega rozkładowi, co prowadzi do wydzielania różnych śmiertelnych, paraliżujących trucizn. Niektóre z nich badano pod kątem zastosowania w środkach przeciwbólowych, ale dawka lecznicza jest tak bliska dawki śmiertelnej, że z medycznego punktu widzenia to w zasadzie bezużyteczne rozwiązanie.

Po drugiej stronie ścieżki mrówki grzybiarki maszerują zwartą kolumną od mrowiska do drzewa. Wyewoluowały tak, że wykorzystują w swoich żuwaczkach metale ciężkie – ich zęby są pokryte cynkiem, żeby mogły przecinać listowie. Kiedy się wsłuchać i przyjrzeć, to widać, że nigdy nie jest się w dżungli samemu i że wcale nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który nauczył się wykorzystywać wiedzę do własnych celów.

Przyjechałem tutaj, żeby zbadać ruiny miasta Yax Mutal, znanego lepiej pod nazwą Tikál. Od ok. 750 r. przed naszą erą do roku 1697 Majowie – nie jeden lud czy grupa etniczna, ale grupa ludów zamieszkujących państwa-miasta – zajmowali przesmyk łączący Amerykę Północną i Południową. Odnosili imponujące zwycięstwa, doświadczali krwawych konfliktów wewnętrznych i upadków, jakie były udziałem wszystkich społeczności w historii. Tikál zyskało na znaczeniu ok. 200 r., następnie, jakieś 700 lat później, popadło w ruinę i zostało pochłonięte przez dżunglę.

Pozostawało w ukryciu, ciche i niewzruszone, znane jedynie z lokalnych legend, i dopiero w latach 40. XIX w. odnaleźli je archeolodzy. Po odgarnięciu poszycia odkryli sekretne miasto zamieszkane niegdyś przez populację liczącą ok. 60 tys. osób – szacunki wahają się od 10 tys. do nawet 400 tys. mieszkańców. Tikál nie było zresztą jedyne.

W średniowieczu w Amerykach rozkwitały miasta i cywilizacje.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 25e4991eaf

W Meksyku Aztekowie zbudowali miasto Tenochtitlán, liczące 200 tys. mieszkańców – czyli mniej więcej tyle, ile w ówczesnym Paryżu, i około czterokrotnie więcej niż w Londynie czy Rzymie. Akwedukty dostarczały czystą wodę, a Aztekowie uwielbiali się kąpać (używali mydła z kory drzewa chupandia) przynajmniej dwa razy dziennie. Na terenie dzisiejszego Saint Louis lud, który zbudował Cahokia Mounds, istniał do ok. 1350 r. i pozostawił po sobie dowód złożonej struktury społecznej.

O Inkach w Peru myślimy jako o starożytnej cywilizacji, podczas gdy faktycznie byli oni najeźdźcami: drobna szlachta, podobna tej, jaką można było spotkać w Europie, rządziła 10 mln ludzi zasiedlającymi pas wzdłuż Andów. Doszli do władzy i stworzyli imperium dopiero w 1438 r.

Dziś Tikál jest atrakcją turystyczną, mniej znaną niż I Chichén Itzá na północy, ale rozleglejszą i mniej zatłoczoną. Piramidy świątynne wznoszą się tu na wysokość 65 m (...).

Kiedy się przechadzam dawnym centralnym placem miasta albo wspinam po stromych stopniach Świątyni Wielkiego Jaguara, a przy każdym kroku pot występuje mi na czole, dużo bardziej interesują mnie ówczesne osiągnięcia inżynierii. Południowoamerykańska dżungla jest bezlitosna, a jednak budowle Tikál nadal stoją, opierając się upałom, wilgoci i huraganom wiejącym w głąb lądu z Karaibów. Jak to możliwe, że trwają nienaruszone, podczas gdy domy zbudowane zaledwie dziesiątki lat temu rozpadają się w pył? Jaką tajemną wiedzę posiedli Majowie, że ich piramidy zachowały się do dzisiaj, kiedy ich sąsiedzi, np. Aztekowie, patrzyli, jak nawet ich najlepiej utrzymane miasta powoli niszczeją i popadają w ruinę?

Niewiele wiadomo z historycznych zapisów, ponieważ ludy zamieszkujące Ameryki w większości nie używały pisma w takim sensie, jak je dziś rozumiemy. Aztekowie np. stosowali system obrazkowy oparty na semazjografii, czyli symbolach służących do przekazywania pojęć. Nie były tym samym co hieroglify, które mogły być odczytane na głos przez wszystkich rozumiejących słownictwo; przypominały raczej zapis nutowy czy emotikony – ogólne znaczenie przekazu.

Inkowie z kolei używali kipu, rodzaju kolektywnej pamięci, której „zapis" stanowiły plecione sznury. Różnicując je za pomocą długości, koloru i liczby węzełków, przekazywali opowieści i dane statystyczne, choć wiedza o tym, jak je odczytać, dziś już przepadła w mrokach dziejów. Mimo że Majowie korzystali z zaawansowanego pisma, nie pomyśleli o tym, by pisać o wykorzystywanych materiałach budowlanych. Bardziej interesowały ich historia, astronomia i własna mitologia.

Oznacza to, że odpowiedź na pytanie, jak Majowie zbudowali swoje państwa-miasta, nie była znana aż do XXI w. Wówczas, w 2014 r., archeolodzy badający ruiny w Rio Bec w meksykańskim stanie Campeche w zaprawie murarskiej, którą stosowali Majowie, znaleźli ślady pucolany, rodzaju popiołu wulkanicznego. Pucolana jest zeolitem, czyli mikroporowatą skałą składającą się z krzemu i glinu, którym zawdzięcza pewne niezwykłe właściwości chemiczne. Zwykle przy wytwarzaniu zaprawy i cementu wykorzystuje się wapno palone. To po prostu tlenek wapnia, substancja, którą uzyskuje się poprzez podgrzewanie wapienia w celu usunięcia zawartego w nim dwutlenku węgla. Po dodaniu wody tworzy się wodorotlenek wapnia, inaczej wapno gaszone, które następnie można zmieszać z piaskiem, żwirem lub czymkolwiek innym, co ma się pod ręką, żeby uzyskać beton. Stopniowo ta mieszanka pochłania z powietrza dwutlenek węgla i zmienia się w węglan wapnia (znany nam dobrze osad na kranach). To świetna zaprawa, ale nie przetrwałaby 2 tys. lat w gwatemalskiej dżungli.

Pucolana działa inaczej. Kiedy dodamy popiół wulkaniczny do wapna gaszonego, zajdzie zupełnie inna reakcja, jest to bowiem materiał zawierający duże ilości krzemu, a kwas krzemowy wchodzi w reakcję z wapnem gaszonym i tworzy związki krzemianu wapnia będące znacznie mocniejszym spoiwem. Nie tylko Majowie używali pucolany. Ponieważ jedno z jej największych źródeł znajduje się w okolicy Wezuwiusza, Rzymianie także odkryli jej potencjał.

Korzyści płynące z wykorzystania popiołu wulkanicznego w budownictwie sięgają znacznie dalej. W 2023 r. odkryto, że w rzymskim betonie z dodatkiem pucolany znajdowały się również cząsteczki jonów glinu. Nadało to zaprawie dodatkowy walor – zamiast wytwarzać jedynie węglan wapnia, wapno gaszone zaczęło teraz produkować glinokrzemian wapnia, czyli minerał będący budulcem skał.

Dzięki temu materiał jest bardziej wytrzymały, ale też sprawia, że cement skrywa chemiczną niespodziankę o powolnym działaniu w postaci dużych fragmentów lub okruchów skalnych wapienia. Z czasem pod wpływem wiatru i deszczu woda przedostaje się do wnętrza muru i rozpuszcza zaprawę. Normalnie osłabiłoby to konstrukcję i doprowadziło do jej zniszczenia. Dzięki okruchom skalnym wulkaniczna pucolana zachowuje się inaczej. Kiedy się rozpuszcza, jony wapnia, glinu i krzemianu tworzą kryształy, których ostre igiełki lub gładkie płytki sprawiają, że wszelkie szczeliny powstałe pod wpływem wody ponownie się zamykają. Beton sam się naprawia.

W 2014 r., archeolodzy w meksykańskim stanie Campeche w zaprawie murarskiej Majów znaleźli ślady pucolany, rodzaju popiołu wulkanicznego.

Dzisiaj cement pucolanowy ratuje ludziom życie. Robert Stevenson zastosował tę technikę, jak również inne pomysłowe rozwiązania, przy budowie latarni morskiej Bell Rock na dzikim, nieprzyjaznym wybrzeżu Szkocji na początku XIX w. Bell Rock to słynna rafa, którą nad powierzchnią wody widać jedynie przez trzy godziny w ciągu dnia. W roku poprzedzającym budowę latarni morskiej rozbiło się o tę rafę sześć statków.

eprasa.pl 25e4991eaf

W kolejnych 215 latach nie zdarzyła się katastrofa, a w latarni nie trzeba było wymieniać ani jednej cegły.

Starożytni Rzymianie i Majowie, żyjący w cieniu wulkanów i mający na podorędziu wytwarzany przez nie popiół, niezależnie od siebie trafili na cudowny materiał, który pozwolił im produkować cement dużo trwalszy niż wytwarzany przez jakąkolwiek inną cywilizację przed nimi aż do ery przemysłowej. To dlatego Panteon w Rzymie czy Mur Hadriana w północnej Anglii wyglądają tak samo jak przed niemal 2 tys. lat. Jest lepiej – z tych materiałów możemy czerpać wiedzę. Średnia trwałość budynku z betonu zbrojonego to zaledwie 50-60 lat, a produkcja betonu odpowiada za 8% globalnej emisji węgla. Majowie nie znali chemicznych przyczyn tak dużej skuteczności swojej zaprawy, ale to nie powód, żebyśmy nie inspirowali się ich pomysłami.

pokryte zaprawą murarską, pomalowane wapnem i bardzo wytrzymałe, ponieważ wytwarzano je tam przy użyciu pewnego rodzaju wody pozyskiwanej z kory drzewnej". Zainspirowani tymi słowami naukowcy dodali sok z pobliskich drzew, mieszając go z wapnem gaszonym. Po przeanalizowaniu wyników odkryli, że węglowodany zawarte w soku utworzyły drobne kryształki kalcytu podobne do tych, jakie zawierają muszle mięczaków czy grzbiet jeżowca. Majowie używali tynku nie tylko wyjątkowo trwałego, ale też idealnie przystosowanego do wilgotności panującej w dżungli Ameryki Środkowej.

Korzyści płynące z pomysłowości Majów na tym się nie kończą. Zeolity takie jak pucolana są fantastycznymi katalizatorami – wspomagają lub zmieniają przebieg reakcji chemicznych, a same pozostają niezmienne – a także są doskonałymi naturalnymi

Do niedawna myśleliśmy, że zmiękczanie i oczyszczanie wody, a także sztuka wymiany jonowej to nowoczesne wynalazki, a Majowie byli pierwsi.

Nie była to zresztą jedyna innowacja, jaką stosowali Majowie. Choć postrzegamy tynk jako jeden materiał, na przestrzeni wieków pojawiały się różne receptury, które zyskiwały na popularności lub traciły na znaczeniu. Kiedy przechadzam się po Tikál, staje się dla mnie jasne, że w przepisach Majów kryło się coś jeszcze. Gdy starożytne mozaiki są obtłuczone i wyszczerbione, ściany, które zbudowano 1,2 tys. lat temu, pozostają nadal gładsze niż niektóre w moim domu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęły się pojawiać zadziwiające wyniki dotyczące samonaprawiającej się zaprawy, zespół badaczy z Uniwersytetu w Granadzie w Hiszpanii przy użyciu promieni rentgenowskich i mikroskopów elektronowych przeanalizował tynk odkryty w ruinach Copán w Hondurasie i rozpoczął eksperyment, który miał sprawdzić, czy możliwe jest skopiowanie tego materiału.

Odpowiedź przyszła ze strony misjonarza Diego de Landy, który napisał, że Majowie stosowali „dachy

sitami molekularnymi i adsorbentami (ciałami, na których powierzchni sorbują substancje). Zeolitów używa się w urządzeniach do zmiękczania wody i detergentach; można je również znaleźć w żwirku dla kotów i maszynach do przetwarzania odpadów promieniotwórczych.

Jeszcze do niedawna myśleliśmy, że zmiękczanie i oczyszczanie wody, a także tajemna sztuka wymiany jonowej to nowoczesne wynalazki, a znowu się okazuje, że Majowie byli pierwsi. Zwykle kiedy jest mowa o kulturze Majów i wodzie, nasze myśli automatycznie kierują się w stronę cenot. To wejścia do podwodnych korytarzy na Jukatanie – pojawiają się w dżungli jak nagłe, strome zapadliska, które schodzą do wody. (...) Płetwonurkowie znajdują w nich czaszki i kości ludzkie, często wrzucone do środka, aby przyśpieszyć podróż zmarłych. Dla chemika jednak nagroda jest na wyciągnięcie ręki.

Niedaleko od głównej świątyni Tikál znajduje się rezerwuar Corriental – źródło wody dla całego miasta zapewniające przeżycie ludności w czasach, kiedy opady deszczu były nieprzewidywalne, a susze powszechne. Kiedy archeolodzy zbadali skład chemiczny osadu w zbiorniku, znaleźli bogate w zeolity glinę i kwarc. To nie mógł być tylko szczęśliwy zbieg okoliczności; glinę i kwarc trzeba by przetransportować do miasta z odległych obszarów. Odmiennie od tych prymitywnych kultur, które żeby poznać cuda nauki i inżynierii, potrzebowały Europejczyków, Majowie z Tikál stworzyli niezwykły, naturalny system oczyszczania wody co najmniej tysiąc lat przed tym, zanim gdzie indziej w ogóle jakiś wprowadzono.

Z lokalnych źródeł historycznych wiemy, że władcy miasta byli z tego dumni. W czasach, kiedy łyk wody ze studni mógł oznaczać śmierć, Tikál, to niezwykłe zaginione miasto w środku dżungli, miało bezpieczne źródło czystej wody dzięki chemii zawartej w kamieniach.

Historia Tikál mogła się powtarzać na terenie obu Ameryk. Nawet dzisiaj w naszych standardowych podręcznikach nie docenia się (albo co gorsza: fałszuje się) umiejętności naukowych i inżynieryjnych rdzennych ludów. Inkowie i ich poprzednicy żyjący w Peru budowali domy w taki sposób, by przetrwały trzęsienia ziemi, i radzili sobie w tak różnorodnych miejscach jak dżungla amazońska i Pustynia Atakama.

W Kolumbii, w Muzeum Złota (Museo del Oro) w Bogocie, znajdziemy dowody umiejętności rdzennych złotników. Kultura Moche w północnym Peru wykształciła podstawy galwanotechniki. Irokezi z Pensylwanii używali wazeliny do ochrony skóry. Nauka Nowego Świata nie była ani lepsza, ani gorsza od tego, co działo się w innych zakątkach globu. Była po prostu innym sposobem rozwiązywania tych samych problemów. (…)



Fragmenty książki Kita Chapmana *Epoka alchemii. Jak magia stała się nauką*, przeł. Kamila Jansen, Znak Koncept, Kraków 2026

eprasa.pl 25e4991eaf



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wy nie wiecie, a ja wiem…

Nie ma co się oburzać, wszak wszystko już było, azali z ław szkolnych nie znamy tego passusu: „Obywatelu – rzekł wówczas polubownie Miętus – czyście oszaleli? Dlaczego szczekacie, wy i wasza żona? Mamy jak najlepsze intencje. – Na dźwięk tego wyrażenia »obywatel« szczekanie ozwało się z potrójną siłą”? W „Ferdydurke” chłopi udają psy, bo młodych mieszczuchów biorą za urzędników, których wizyty kojarzą im się wyłącznie z kolejnymi dotkliwościami przysparzanymi przez państwo.

Problem w tym, że posłanka opozycji, która dała głos w parlamencie, w jakimś tam sensie państwo reprezentuje, zaszczekała zaś bezpośrednio do wicepremiera i ministra obrony narodowej. Tłumacząc się potem, rzekła, iż to jedyny język, który jest dla rządu zrozumiały. Posłanka Ch. zapewne wie, jak rozmawiać trzeba z psem, poznała język psi i nie zawahała się go użyć. Pytanie tylko, czy posłanka użyła szczeknięć parlamentarnych, czy też obelżywych – tu już do rozpoznania trzeba zatrudnić kynologa behawiorystę.

To, że polska polityka zeszła na psy, jest rzeczą wiadomą, wypada się dziwić, że dopiero teraz z ław sejmowych jęły się dobywać pierwsze nieśmiałe szczeknięcia. Oburzenie ratlerczym performansem posłanki PiS zdaje się trącić hipokryzją, skoro od dawna koalicje akurat będące u steru hołdują zasadzie „Słychać wycie? Znakomicie!”. Co to, wyć wolno, a ujadać już nie? Mnie ten akt nie razi, rzekłbym nawet, że przynosi niejaką ulgę w swej spontanicznej szczerości, jest logicznym etapem odchodzenia od cywilizowanych obyczajów – skoro kiedyś ogłoszono, że skończył się Wersal, wreszcie musiał także skończyć się język. Kaczyści uznali, że nie muszą już nikogo udawać, w ściganiu się o miejsce przy prawej ścianie dotarli w dyskursie politycznym do etapu jawnego odczłowieczania adwersarzy.

Oburzenie ratlerczym performansem posłanki PiS zdaje się trącić hipokryzją, skoro od dawna koalicje będące u steru hołdują zasadzie „Słychać wycie? Znakomicie!”.

Oglądanie obrad polskiego parlamentu jest od dawna co najmniej uciążliwe, za sprawą objętej immunitetami swołoczy, którą do Sejmu wprowadziła prawica. Knajackie pokrzykiwania, łajania, zagłuszanie przemówień premiera i ministrów – wygląda to jak wygłaszanie wykładu o literaturze romantycznej w zakładzie poprawczym, a histeryczna zajadłość sejmowej tłuszczy niczym się nie różni od reakcji stadionowej gawiedzi na poczynania znienawidzonych przyjezdnych. Gdyby nie groźba interwencji Straży Marszałkowskiej, nic nie powstrzymałoby tej hołoty przed obrzucaniem trybuny sejmowej nie tylko kalumniami.

Owóż, dzięki posłance, której, o zgrozo, kaczyści wyznaczyli niegdyś rolę ministry kultury w dwutygodniowej parodii rządu, poznaliśmy prawdziwe oblicze i mental polskiej prawicy. Kiedy przemawiają do ludu, opanowanym głosem, kornie układają dłonie w „wieżyczkę”, uciekają się do wystudiowanych gestów, socjotechnicznych trików, aby sprawiać wrażenie wiarygodnych. Do gęb mają przyklejone sztuczne uśmiechy, tymczasem w głębi duszy chce im się szczekać, gryźć i szczać publicznie w celu poszerzenia granic terytorium.

Sam już nie wiem, co z dwojga złego lepsze – Sejm pozorowany, reżimowy, jak w PRL, gdzie Kisiel jako poseł z ramienia koła katolickiego w 1957 r. tak narzekał na parlamentarną nudę: „Dziarskich przemówień nie było, tylko wstawać, siadać, podnieść rękę, opuścić rękę. Próbowałem urozmaicać tę monotonię wstrzymywaniem się od głosu, ale prezes naszego klubu, Stanisław Stomma (ten sam nazwany przeze mnie Stommą ziemniaczaną) trzymał mnie na uwięzi wzrokiem, wbijając we mnie oczy jak noże”, czy jednak sejmowy oktagon do walk w klatkach, zapchany po sufit wrzaskami, złośliwościami, nienawistnymi pohukiwaniami i groźbami odwetu po następnych wyborach. Dramatycznie mało jest historycznych przesłanek do twierdzenia, że demokracja się w Polsce przyjęła. Karczemne widowiska, jakimi stały się posiedzenia plenarne za sprawą kaczystów i konfederatów, sprawiają raczej wrażenie naporu ochlokracji, której wedle sondaży najwyraźniej naród chciałby hołdować.

Po przejęciu władzy prawica zapewne zechce się odgryźć, każe swoim oponentom wszystko odszczekać, słowa okażą się zbędne. Psu na budę taki parlament. Niedoszczekanie wasze. ■

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 25e4991eaf

Miasto dla wybranych

Kopenhaga – miejsce dobrego życia czy selekcji?

Kinga Eysturland

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Dania uchodziła za jedno z najbardziej jednorodnych państw Europy – zarówno etnicznie, jak i kulturowo. Społeczeństwo opierało się na silnym państwie dobrobytu i wysokim zaufaniu społecznym, a obecność imigrantów była marginalna. Wszystko zaczęło się zmieniać w drugiej połowie XX w., kiedy do kraju napłynęli pracownicy z Turcji, Pakistanu oraz byłej Jugosławii, ściągani do Danii w ramach polityki gastarbeiterów. Kolejne fale migracji – uchodźcy z Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji – dopełniły obraz coraz bardziej wielokulturowego społeczeństwa.

Wielokulturowość, choć przez dekady prezentowana jako wartość, z czasem stała się także źródłem napięć politycznych i społecznych. Przestrzenie miejskie – szczególnie te zaniedbane i tańsze – zaczęły się przekształcać w etniczne enklawy. Niektóre z nich w debacie publicznej zaczęto określać mianem getta. Tak było m.in. z dzielnicą Nørrebro – tętniącą życiem, kolorową i różnorodną, ale też przez polityków i urzędników postrzeganą jako problem.

W 2018 r. duński rząd przyjął tzw. Ghettopakken – pakiet ustaw mających na celu przeciwdziałanie tworzeniu się społeczeństw równoległych. W centrum polityki *znalazły się ghettoomrader* – obszary spełniające co najmniej dwa z czterech warunków: wysoki odsetek bezrobocia, niski poziom edukacji, duży udział imigrantów z krajów niezachodnich oraz wysokie wskaźniki przestępczości.

Najbardziej problematyczne dzielnice trafiały na corocznie publikowaną listę gett – Ghettolisten, a w przypadku najbardziej dotkniętych miejsc mówiono wręcz o „twardych gettach". Jednym z najbardziej



Przez lata Vesterbro uchodziło za dzielnicę „problematyczną". Po rewitalizacji pojawili się tu nowi mieszkańcy – przedstawiciele klasy średniej.

kontrowersyjnych zapisów pakietu była zasada, zgodnie z którą w tych obszarach odsetek mieszkań komunalnych nie może przekraczać 40%. W praktyce oznaczało to przymusową sprzedaż lub przekształcanie własności mieszkań, co uderzyło przede wszystkim w imigrantów i osoby o niższych dochodach. Otworzyło

Problemy społeczne Kopenhagi zostają zepchnięte do sfery niewidzialności.

to drogę do przymusowych zmian własności i wypychania wieloletnich lokatorów z przestrzeni, w której żyli przez dekady.

Jednym z najgłośniejszych przypadków stał się kompleks mieszkaniowy Mjølnerparken w dzielnicy Nørrebro, gdzie spółdzielnia Bo Vita została zobligowana do sprzedaży dwóch z czterech bloków. Mieszkańcy – w dużej mierze imigranci – nazwali to dyskryminacją. Krytycy uznali Ghettopakken za formę instytucjonalnej dyskryminacji i podkreślali, że prawo piętnuje nie tyle zjawiska społeczne, co konkretne grupy etniczne i klasowe.

Chociaż termin getto został w 2021 r. oficjalnie usunięty z języka legislacyjnego jako zbyt stygmatyzujący, zasady wprowadzone w ramach Ghettopakken pozostały w mocy. Zmieniła się narracja, ale nie praktyka: państwo wciąż klasyfikuje dzielnice według kryteriów społecznych i etnicznych, ogranicza udział mieszkań komunalnych, a władze lokalne są zobowiązane do działań przekształcających tkankę mieszkaniową. Dla wielu mieszkańców, zwłaszcza w Mjølnerparken, nowa nazwa nie zmienia istoty problemu – poczucia, że są wypychani z własnego sąsiedztwa w imię polityki, która nie dopuszcza różnorodności.

Jak doszło do tego, że wielokulturowość, choć miała być symbolem otwartości, stała się problemem do rozwiązania? I co mówi

eprasa.pl 25e4991eaf

o społeczeństwie fakt, że „najbardziej cool dzielnica świata", jak okrzyknął Nørrebro magazyn „Time Out" w 2021 r., dziś staje się areną walki o prawo do pozostania w miejscu, które uznaje się za dom?

Przez lata Vesterbro uchodziło za jedną z najbardziej „problematycznych" dzielnic Kopenhagi – przestrzeń pełna zaniedbanych kamienic, punktów sprzedaży narkotyków, tanich barów i nocnych klubów, do których przychodziło się po płatną miłość. Dla jednych – symbol upadku miasta, dla drugich – kolorowa enklawa autentyczności. Na przełomie lat 90. i 2000. ruszyły szeroko zakrojone programy rewitalizacji miejskiej. W ich ramach odnowiono fasady, utworzono nowe parki, zainwestowano w kulturę.

Wraz z estetyzacją przestrzeni pojawili się nowi mieszkańcy – przedstawiciele klasy średniej, artyści, młodzi profesjonaliści. Czynsze poszybowały w górę. Handel narkotykami rzeczywiście zniknął z ulic, ale zniknęli też ci, którzy nie pasowali do nowego wizerunku dzielnicy. Gentryfikacja okazała się skuteczniejszym narzędziem kontroli społecznej niż jakakolwiek ustawa.

Podobne procesy widać dziś w Nørrebro – dzielnicy, która jeszcze dekadę temu kojarzyła się z protestami, walką o prawa lokatorów i dużą obecnością migrantów. Dziś pojawiają się tu modne piekarnie z organicznym chlebem, galerie sztuki współczesnej i concept store'y z hasłami o zrównoważonym stylu życia. Jednak ta transformacja rzadko obejmuje uchodźców, osoby na zasiłkach czy samotne matki z bloków socjalnych. Nowa estetyka dzielnicy nie pozostaje neutralna – niesie wyraźny przekaz o tym, kto jest mile widziany, a kto nie pasuje do miejskiej opowieści o sukcesie.

Wizerunek „bezpiecznego" miasta to zarówno efekt inwestycji, jak i pracy mediów oraz polityk lokalnych. Oficjalne kampanie miejskie i turystyczne skupiają się na estetyce – zieleni, designie, dobrym smaku. Tymczasem problemy społeczne zostają zepchnięte do sfery niewidzialności. W medialnej narracji nie ma miejsca na opowieści o wykluczeniu, przeprowadzce z konieczności czy rosnących różnicach klasowych. Przestrzeń miejska zakłada selekcję – zarówno według portfela, jak i według stylu życia i wizerunku.

Oficjalne kampanie promujące Kopenhagę rysują obraz miasta jako enklawy życia zrównoważonego, estetycznego, pełnego światła, rowerów i wypieków z lokalnych ziaren. Strona Visit Copenhagen prezentuje Nørrebro jako „żywą dzielnicę kontrastów – gdzie street art łączy się z chlebem na zakwasie i kawą z ekologicznych upraw".

Brakuje na niej jednak choćby jednego zdjęcia bloku z Mjølnerparken czy wzmianki o tym, że część mieszkańców tej dzielnicy od lat walczy o prawo do pozostania w swoich mieszkaniach. Media głównego nurtu, choć czasem podejmują temat wykluczenia, najczęściej ukazują miejskie zmiany jako sukces.

Bezpieczeństwo oznacza nie tylko brak przestępczości, lecz także brak niewygodnych sąsiadów.

Estetyka staje się językiem selekcji. Bezpieczeństwo oznacza często nie tylko brak przestępczości, lecz także brak niewygodnych sąsiadów. Hygge, choć pozornie inkluzyjne, wyklucza tych, których nie stać na kawę za 60 koron ani weekendowy brunch w butikowej kawiarni. Polityki miejskie, mimo formalnej neutralności, współtworzą ten obraz. Inwestycje w przestrzeń publiczną idą w parze z deregulacją rynku mieszkaniowego, co sprzyja najemcom z zasobnym portfelem, a wypycha tych, którzy nie nadążają za wzrostem kosztów życia.

Miasto jest produktem – kreowanym, pakowanym i sprzedawanym. W tym procesie niektórzy mieszkańcy stają się wartościowi, a inni – niewidzialni. Gentryfikacja, podobnie jak ustawy o gettach, określa, kto pasuje do przyszłości miasta, a kto powinien się usunąć w cień.

Jednak problem nie dotyczy wyłącznie Kopenhagi. Głośnym echem w mediach odbił się przypadek osiedla Sundparken w Helsingørze, miasteczku położonym na północ od Kopenhagi. Nie była to dzielnica luksusu – niskie, komunalne bloki z lat 60., zamieszkane głównie przez osoby o niskich dochodach i często o niezachodnim pochodzeniu. Nie notowano tu jednak przestępczości przewyższającej średnią krajową, a techniczny stan budynków nie wskazywał na konieczność wyburzeń. Mimo to lokalne władze ogłosiły, że część bloków zostanie zrównana z ziemią.

Powód? Zbyt duży odsetek mieszkańców niespełniających kryteriów „dobrego profilu społecznego" narzuconego przez Ghettopakken. Udział imigrantów spoza Zachodu, poziom bezrobocia i brak wykształcenia ponadpodstawowego okazały się decydującymi czynnikami. Nie uwzględniono stażu migracyjnego w Danii, nie przyjrzano się indywidualnym życiorysom.

– Burzą domy nie dlatego, że są zniszczone, ale dlatego, że nie podoba się im, kto w nich mieszka – powiedział jeden z mieszkańców osiedla reporterowi z „Politikena".

Władze Helsingøru tłumaczyły decyzję potrzebą przekształcenia demografii osiedla i zapewnienia lepszej integracji społecznej. W praktyce oznaczało to, że kilkadziesiąt rodzin musiało opuścić swoje mieszkania. Na dodatek lokale zastępcze, zaoferowane przez miasto, nie miały porównywalnych warunków.

Pomimo protestów mieszkańców i organizacji obywatelskich sądy uznały decyzję władz za zgodną z prawem. Sundparken to tylko kolejny przykład kierunku, jaki obrały duńskie miasta. To jawny zwrot od państwa opiekuńczego ku modelowi zarządzania społeczeństwem przez algorytmy demografii. Mieszkania komunalne nie są już bezpieczną przystanią, jeśli mogą zostać sprzedane lub zburzone tylko dlatego, że ich lokatorzy nie pasują do norm prawnych i wizerunku nowoczesnej i zintegrowanej wspólnoty.



Fragmenty książki Kingi Eysturland *Kopenhaga. Stolica dobrego życia*, Bezdroża, Gliwice 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 25e4991eaf


Czarka szkarłatna


Żółciak siarkowy

GRZYBÓW BYŁO W BRÓD

Od czernidłaków do soplówki bukowej

Dorota Zawadzka

Grzyby to bardzo dziwne organizmy. Dawniej zaliczano je do roślin, obecnie zaś razem z porostami tworzą osobne królestwo w systematyce żyjących organizmów. Liczba krajowych gatunków szacowana jest na co najmniej 15 tys. Według prof. Aleksandra Sokołowskiego w Puszczy Augustowskiej stwierdzono ok. 450 gatunków, ale rozpoznanie tej grupy organizmów jest ciągle niepełne i liczba żyjących w puszczy grzybów jest wyższa. Ze względu na pogłębiający się deficyt wodny i upalne lata nie w każdym roku owocniki wszystkich gatunków pojawiają się licznie.

Tradycja zbierania grzybów jest wśród mieszkańców puszczy i okolic bardzo silna. Dochody ze sprzedaży kurek, czyli pieprzników jadalnych, zasilają niejeden domowy budżet. (…)

Na śródleśnych łąkach już w lipcu pojawiają się masowo rosnące czubajki kanie. Kapelusze puszczańskich czubajek dorastają do 30 cm średnicy. Grzyby te rosną w skupieniach po kilkadziesiąt lub nawet kilkaset w jednym miejscu. Kanie pojawiają się także w drzewostanach iglastych, ale są w takich środowiskach mniej liczne i osiągają znacznie skromniejsze rozmiary. W lasach świerkowych można spotkać mniejszą czubajkę czerwieniejącą, o miąższu zabawiającym się czerwonawo po skaleczeniu.

Przy brzegach leśnych dróg we wrześniu pojawiają się rosnące w skupieniach czernidłaki kołpakowate o białych, walcowatych, skupionych wokół trzonu kapeluszach z białymi odstającymi łuskami. Starsze owocniki mają pęknięte kapelusze z podwiniętymi do góry brzegami, z widocznymi czarnymi blaszkami. Stare grzyby zmieniają się w czarną maź. Młode owocniki są jadalne, ale zawarta w nich kopryna to substancja blokująca metabolizm alkoholu w organizmie, co powoduje silne zatrucia u osób konsumujących ten gatunek w połączeniu z napojami wyskokowymi.

Jesienią na korzeniach starych sosen rozwijają się imponujące kształtem i rozmiarami owocniki siedzunia sosnowego, dawniej nazywanego szmaciakiem gałęzistym. Ten wyjątkowy, nieco przypominający wyglądem kalafior grzyb jest saprofitem martwych drzew i pasożytem jeszcze żywych. Owocnik, przyjmujący kształt nieregularnej kuli, jest złożony z ciasno ułożonych, wyrastających z krótkiego, mięsistego trzonu, listkowatych, kruchych odgałęzień. Osiąga bardzo duże wymiary: średnicę do 30 cm i masę do 5 kg. Młode okazy mają kremową barwę i przyjemny korzenny zapach oraz smak. Większość znalezionych okazów wystarcza na więcej niż jeden obiad. Siedzuń zawiera działający antybiotycznie związek o nazwie sparassol – dzięki temu można go długo przechowywać.

Od 1984 r. – kiedy w Polsce objęto ochroną gatunkową pierwszych 20 gatunków grzybów – do 2014 siedzuń sosnowy był objęty ochroną ścisłą. W 2014 r. pozbawiono go ochrony i obecnie można go zbierać i zjadać w pełni legalnie. W Puszczy Augustowskiej jest gatunkiem rzadkim, rosnącym pojedynczo

eprasa.pl 25e4991eaf





Czernidłak kołpakowaty

w starych, ponad 120-letnich drzewostanach sosnowych.

W Rezerwacie Perkuć na martwej brzozie miałam okazję zaobserwować piękne owocniki soplówki bukowej, od 2014 r. objętej ochroną częściową. Kremowobiałe owocniki, złożone z cienkich grzybowych „gałązek", należą do najpiękniejszych i bardzo rzadkich w Polsce grzybów. Podlegającą ochronie częściowej żagwicę listkowatą widziałam także tylko raz na starym martwym dębie niedaleko Gib. Owocnik tego gatunku ma postać kilku warstw cienkich, ułożonych niemal promieniście, płaskich, brązowych, listkowatych kapeluszy zrośniętych bocznymi trzonami.

W starych drzewostanach iglastych jesienią rozwijają owocniki płachetki kołpakowatej, zwane przez miejscowych mieszkańców turkami. Często towarzyszą im gołąbki o czerwonych kapeluszach. Jesienią pod sosnami i świerkami pojawiają się, tworzące z tymi drzewami mykoryzy, muchomory o nakrapianych resztkami osłony kapeluszach. Najliczniejszy i najładniejszy z nich to muchomor czerwony, rzadsze i mniej efektowne są mięsiste muchomory czerwieniejące (jadalne, podobno smaczne) oraz trujące muchomory cytrynowe i sromotnikowe.

Październik to czas pojawiania się owocników sarniaków dachówkowatych. Te oryginalne grzyby, tworzące mikoryzę ze świerkami, mają osadzone na krótkim trzonie, mięsiste, okazałe kapelusze barwy brązowoszarej z dużymi łuskami. Sarniaki mają hymenofor kolcowy. Do 2014 r. gatunek ten podlegał ochronie ścisłej, obecnie nie jest chroniony.

Klasę workowców reprezentują rosnące na łąkach nad Wigrami, nad Kanałem Augustowskim oraz pod Sejnami początkowo białe, a następnie ciemniejące purchawice olbrzymie o kulistych, nieco spłaszczonych owocnikach. Te objęte do 2014 r. ochroną gatunkową grzyby osiągają masę kilku kilogramów (stosownie do nazwy – wyjątkowo nawet 20 kg) i średnicę kilkudziesięciu centymetrów. Pojawiają się na łąkach późnym latem, rosną w charakterystycznych skupieniach, zwanych czarcimi kręgami. Wyraźnie mniejsze rozmiary osiąga czasznica oczkowata – kremowożółty grzyb o gruszkowatym kształcie, rosnący często na pastwiskach. W puszczy rośnie kilka gatunków objętych ochroną gwiazdoszy, czyli grzybów w kształcie gwiazdek. Ich owocniki mają formę niewielkiej kuli (o średnicy 2 cm), na której w miarę wzrostu pęka zewnętrzna osłona, tworząc promieniście rozłożone płatki wokół worka, czyli głównej części grzyba, w której powstają zarodniki.

Gwiazdosze najczęściej rosną w niewielkich skupieniach, a ich owocniki są dosyć trwałe – zasychają, a nie rozkładają się. Najliczniejszym przedstawicielem jest gwiazdosz potrójny, a jego duża populacja rośnie w Rezerwacie Mały Borek. Gwiazdosze widziałam w puszczy na kilkudziesięciu stanowiskach.

Czarka szkarłatna jest pięknym grzybem o nazwie doskonale oddającej jej wygląd. Pierwsze owocniki o miseczkowatym kształcie i cienkich, nieco powyginanych, dosyć elastycznych ściankach, osadzone na krótkim nibytrzonie pojawiają się wczesną wiosną. Wnętrze owocnika ma intensywną czerwoną barwę, a zewnętrzne ścianki są pokryte białawymi włóknami. Czarki rozwijają się na niewielkich fragmentach leżącego na ziemi martwego drewna liściastego w wilgotnych żyznych siedliskach leśnych. Czarka szkarłatna jest jadalna i zdaniem koneserów z powodzeniem może zastąpić rzodkiewki w roli wiosennej nowalijki.

Podobnym, ale pojawiającym się jesienią gatunkiem jest dzieżka pomarańczowa o bardziej powyginanych brzegach, tworząca charakterystyczne czarcie kręgi na resztkach drewna w siedliskach borowych. Również jest jadalna, ale podobno nie tak smaczna jak czarka szkarłatna.

Sromotnik bezwstydny (smrodliwy) jest jednym z najoryginalniejszych grzybów polskich lasów. Jego obecność najłatwiej stwierdzić po zapachu, gdyż rozwinięte owocniki tego gatunku wydzielają intensywną woń podobną do padliny (ale znacznie przyjemniejszą). Sromotniki najczęściej rosną po kilka w miejscach żyznych, wilgotnych i zacienionych.

eprasa.pl 25e4991eaf

Rozwijający się pod ziemią młody owocnik kształtem i wielkością przypomina piłeczkę do ping-ponga. Jest to kula okryta elastyczną osłoną, wypełniona miąższem otoczonym galaretowatą masą, przytwierdzona do podłoża białymi sznurami grzybni. Stadium to nosi ludową nazwę czarciego jaja. (…)

Młode owocniki sromotnika w stadium czarciego jaja są jadalne i we Francji uchodzą za przysmak. Smażone na patelni ponoć przypominają smakiem rybę. W średniowieczu z młodych owocników sporządzano napój miłości. Podobno wyciąg z tego grzyba ma działanie lecznicze i jest stosowany w zakrzepicy. Ze względu na częste niszczenie owocników o specyficznej woni przez ludzi sromotnik bezwstydny w 1983 r. został objęty w Polsce ochroną ścisłą, zniesioną w 2004 r. ze względu na silne rozpowszechnienie tego gatunku.

Wiosną na poboczach dróg leśnych nielicznie pojawiają się żeberkowate kapelusze brunatnych smardzów stożkowatych i jaśniejsze, miodowej barwy – smardzów jadalnych. Ich dość kruche kapelusze przypominają strukturą plastry miodu. Najliczniejszymi wiosennymi workowcami są jednak tworzące czarcie kręgi piestrzenice kasztanowate i nieco rzadsze piestrzenice olbrzymie o pomarszczonych brązowych kapeluszach, przyjmujących fantazyjne kształty. Piestrzenice rosną w nasłonecznionych miejscach w siedliskach borowych. Grzyby te zawierają trujący związek – gyromitrynę, która rozpuszcza się w wysokiej temperaturze i przechodzi do roztworu. Jesienią na świerkowych pniakach pojawiają się owocniki gąbkowca północnego. Jest to rzadki grzyb o zasięgu borealnym, potrzebujący do rozwoju martwego, wielkowymiarowego (czyli o średnicy pnia wynoszącej co najmniej 60 cm) drewna iglastego. Gąbkowce rozwijają się w dużych skupieniach w miejscach wilgotnych i zacienionych, w starych lasach z bogatym podszytem.



Soplówka bukowa

To gatunek rzadki, ale nie podlega żadnej formie ochrony prawnej. Jest saprotrofem – rozkłada martwe drewno, powodując jego białą zgniliznę. Owocniki gąbkowca północnego początkowo mają bardzo zróżnicowane kształty: poduchowate, owalne, maczugowate. W miarę wzrostu rozwijają się w konsolowato przyrośnięte do drewna kapelusze, ułożone dachówkowato. Delikatnie omszone kapelusze osiągają średnicę od 5 do 15 cm i grubość do 3 cm. (…)

Od maja do października na żywych lub martwych drzewach liściastych pojawiają się okazałe, jaskrawe, żółtopomarańczowe, dachówkowate skupienia owocników żółciaka siarkowego z rzędu żagwiowców. Początkowo mają kształt nieregularnych bulwek, później rozwijają się w wachlarzowate owocniki o pofalowanych kształtach i nieregularnych bruzdkach na wierzchniej stronie pomarszczonego kapelusza. Sam miąższ o grubości do 3 cm jest miękki, soczysty, barwy jasnożółtej lub kremowej. Młode owocniki są jadalne. Ich smak przypomina białe mięso z kurczaka i dlatego jest chętnie stosowany w dietach wegańskich.

Kolejnym rozpowszechnionym w puszczy grzybem jest opieńka miodowa, obecnie uznawana za gatunek zbiorczy (kompleks kilku podobnych gatunków, odróżnialnych za pomocą badań molekularnych). Od lipca do października owocniki wyrastają w skupieniach, wiązkach, najczęściej przy szyi korzeniowej żywych drzew lub w dolnej części pnia. Masowo pojawiają się także na martwych drzewach. Półkuliste niewielkie kapelusze barwy beżowej lub brązowej z drobnymi łuseczkami mają hymenofor blaszkowy. Ten jadalny i chętnie zbierany grzyb jest prawdziwym zabójcą drzew, najczęściej świerków. Powoduje brunatną zgniliznę drewna.

Opieńka jest organizmem zajmującym bardzo dużą powierzchnię, na której rozwija ryzomorfy (sznury grzybniowe). Genetyczna identyfikacja tkanki tego grzyba pozwoliła na stwierdzenie, że pojedynczy organizm zajmuje powierzchnię ponad 800 ha. (…)

Niezwykle oryginalnym grzybem rozwijającym się wyłącznie na pniach brzóz jest błyskoporek podkorowy, wcześniej zwany włóknouszkiem ukośnym, a zwyczajowo czagą. Grzyb ten wytwarza dwie formy. Stadium bezpłciowe to wieloletnie niekształtne bryły zwane sklerocjami, przywierające do kory i przypominające zwęgloną powierzchnię lub bryłę żużlu. W środku, od strony drewna brzozy, znajduje się bardzo gęsta grzybnia o rudawej barwie. Właściwe owocniki ustawione są ukośnie do pnia i osiągają bardzo duże rozmiary. Pojawiają się latem i żyją kilka tygodni.

Błyskoporek zawiera substancje stosowane w leczeniu nowotworów oraz wzmacniające organizm. W puszczy jest rozpowszechniony, niemal pospolity. Wydaje się, że liczniej występuje w siedliskach borowych. Podlega ochronie częściowej.



Fragmenty książki Doroty Zawadzkiej *Puszcza Augustowska. Opowieść o wyjątkowej przyrodzie na polskim biegunie zimna…*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 25e4991eaf

W Polsce 364 tysiące dzieci żyje w skrajnym ubóstwie, często są głodne.
Potrzebna im Twoja pomoc.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ



Wpłać i nakarm

BLIK
794 33 22 11
z dopiskiem „OBIAD"

eprasa.pl 25e4991eaf

„Chłopi" malowani



Małgorzata Ewa Czernik i mural przy ulicy Targowej.

Jest w Lipcach, od 1983 r. Reymontowskich, domek dróżnika, gdzie przez kilka lat mieszkał przyszły autor „Chłopów", zatrudniony jako pracownik Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W sąsiedztwie domku odsłonięto w 2025 r. pomnik pisarza. Ma też Reymont inne pomniki, ulicę i Muzeum Regionalne swojego imienia, a nieopodal muzeum znajduje się Centrum Reymontowskie – Zagroda Ludowa… Warto także odwiedzić Galerię Staroci i Pamiątek Regionalnych ze zbiorami pana Zbigniewa Stania, w tym kolekcją wydań „Chłopów" i eksponatami związanymi z ekranizacją powieści kręconą w Lipcach. Na ścianie izby 7 w galerii od niedawna można zaś oglądać mural „W zagrodzie Jagny", a przy ulicy Targowej właśnie ukończony został drugi, imponujących rozmiarów, 15 m x 6 m, „Orszak weselny Jagny i Boryny". Oba namalowała Małgorzata Ewa Czernik i są one elementami projektu realizowanego przez lipiecką Fundację im. Władysława Stanisława Reymonta.

Twórczość pisarza inspiruje artystkę od lat – już w roku 2000, ogłoszonym przez Sejm Rokiem Reymontowskim, odbyła się wystawa „Mistrz Reymont i Małgorzata", prezentowana również za granicą. Tradycyjne motywy, łowickie pasy i wycinanki są obecne w jej sztuce, pojawiają się choćby właśnie na ścianach budynków, podobnie jak barwne ptaki, anioły i kwiaty:





Fragment ekspozycji Muzeum Regionalnego.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 25e4991eaf



Popiersie przed Muzeum Regionalnym im. Władysława St. Reymonta, odsłonięte w 2016 r., z okazji 149. rocznicy urodzin pisarza.

maki, malwy, słoneczniki, rozkwitające w „niebiańsko-ziemski ogród". A i w Lipcach malarka działała już wcześniej. Przy tworzeniu nowych lipieckich murali dbała o zgodność szczegółów z tradycją, korzystając z podpowiedzi mieszkańców. Ich zainteresowanie i życzliwość, teraz, po zakończeniu pracy, ciepło wspomina. Przekazując dobro, prawdę i piękno, otrzymuje się je też w zamian.

Aleksandra Pańko



Część bogatych zbiorów Galerii Staroci i Pamiątek Regionalnych.



Na terenie galerii stoją charakterystyczne niebieskie chaty. Ściany pokrywano wapnem z dodatkiem barwnika, by m.in. odstraszać owady.



Nawiązujące do dawnego malarstwa dewocjonalnego obrazy Henryka Burzyńskiego w zbiorach Muzeum Regionalnego.



Jagna i Zbigniew Stań, założyciel Galerii Staroci i Pamiątek Regionalnych, czekają na gości.

eprasa.pl 25e4991eaf



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- …do cara warszawskiej Delegacji Miejskiej
- imię Zandberga z Razem
- przeciwnik, oponent
- gips na rzeźby
- rola Haliny Golanko z „Kolumbów” Morgensterna
- imię kierowcy rajdowego Vatanena
- ogień krzepnie, on ciemnieje w kolędzie
- wykres, schemat lub kratki krzyżówki
- o żonie lekarza
- ptaki hodowane na jaja i mięso
- dać go to czmychnąć
- w jego dolnej części pasek informacyjny
- lek wywołujący wymioty
- tytułowa bohaterka powieści Jane Austen
- radiowe lub morskie
- amerykański rolnik
- dzielnice nędzy w Brazylii
- nogi w niego – krzywe
- gulgot jego głosem
- między ludźmi lub na stykach
- Johannes, niemiecki astronom i matematyk
- knur, a gdy Wielki lub Mały – jezioro
- z niego syrop do naleśników
- pełne grzybów lub stojące na plaży
- urządzenie do kopiowania dokumentów
- fotel, co do podróży bogaczom służył
- tam król zwierząt w zoo mieszka
- miasto nad Rodanem i Saoną
- podkarpackie miasto z festiwalem muzyki kameralnej
- gdy w nosie, efektem kichanie
- tam kuter zarzuca sieci
- prawe, nieprawe lub madejowe
- artyzm, mistrzostwo
- Draco… antagonista Harry’ego Pottera
- brak towarów lub pieniędzy w kasie
- pomniejszony model, krótki utwór
- kontrola, pilnowanie zgodności z normami
- czuły z mowy noblowskiej Tokarczuk
- największa rzeka przepływająca przez Łódź
- rak z wierszyka
- gryzonie z podrodziny karczowników
- w niej osadzona żarówka
- …noża – na nim sprawa bywa stawiana
- chwast o długich podziemnych rozłogach
- maca inaczej
- zastępca opata
- lubi robić psikusy
- średniowieczny wędrowny aktor, muzykant
- pocisk odbity od przeszkody
- subiekt Ignacy u Prusa
- serial kryminalny z Wilczakiem i Lubaszenką
- i roślina, i zgrzytliwy odgłos
- drga przy braniu
- rymowanka z ukrytym hasłem
- uszczerbek, strata
- lwowska… matematyczna
- amerykańska agencja informacyjna w skrócie
- wolny – odrzuca reguły metryczne
- dwie w tytule drugiej części „Władcy Pierścieni”
- dobry… nie pożyczaj

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1291”. Do rozlosowania książki „Akuszerka z Sensburga” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 września 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1288” z nr. 35: *Czysta logika to ruina ducha.*

Nagrody otrzymują: Joanna Sokolnicka-Ćwięk z Krakowa, Agnieszka Tanalska z Poznania, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 25e4991eaf

Ku chwale ministra

Sięgnijmy na chwilę do przeszłości. Minister Krzysztof Skubiszewski miał służbowe mieszkanko na Foksal, jeździł stamtąd do MSZ. Miał trzech wiceministrów, jednego dyrektora sekretariatu, jeszcze dwóch pracowników i jednego rzecznika prasowego. A w całym gmachu pracowało 460 urzędników.

Dzisiejsze MSZ nie przypomina tamtego. Jest molochem zatrudniającym 1,8 tys. osób, z dobudowanymi dwoma gmaszyskami, i wszyscy wołają, że to za mało. Radosław Sikorski ma do dyspozycji sześciu wiceministrów, do tego rozbudowany sekretariat, czyli Biuro Ministra. Ilu tam pracuje ludzi? Da się to policzyć? Jakoś da, ale długo to będzie trwało. Ograniczmy się zatem do krótkiego stwierdzenia, że biurem kieruje doświadczony i ceniony dyplomata Tomasz Chłoń, który ma trójkę zastępców. Poza tym pracuje na szefa MSZ Departament Strategii (dziękujemy ci, Łukaszu Pawłowski), rzecznik prasowy, no i osobne Biuro Mediów i Komunikacji Społecznej.

Jakby tak policzyć, to jedna trzecia dawnego MSZ nie zajmuje się niczym innym jak obsługiwaniem ministra.

Z kolei dawne departamenty terytorialne, zajmujące się poszczególnymi państwami, zostały zredukowane w sposób maksymalny. I mamy takiego potworka jak Departament Afryki, Bliskiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej. Dlaczego właśnie taki? Nie wnikajmy, każdy widzi, że jest jak biuro rzeczy niepotrzebnych. A w każdym razie jest to czytelna oznaka aspiracji i zainteresowań dyplomacji RP.

I teraz pytanie zasadnicze: czy to wielkie ministerstwo, kolos przecież, działa lepiej niż tamto z czasów Skubiszewskiego? Prowadzi bardziej intensywną politykę zagraniczną? Ma lepszą wiedzę o świecie? Oczywiście jest to pytanie nieuczciwe, bo i Polska, i świat w tym czasie się zmieniły. Ale warto je zadać.

Warto też zadać pytanie drugie: czy jakaś granica nie została przekroczona? I czy MSZ jest Ministerstwem Spraw Zagranicznych, czy biurem obsługi wicepremiera Radosława S.? Jeżeli bowiem popatrzymy na to, co z MSZ się wydostaje, mamy tam przede wszystkim komentarze Radosława Sikorskiego, krótkie formy, wypowiedzi, tweety – i to jest polska polityka zagraniczna. Minister i poza tym nic. A to nic krzyczy jeszcze głośniej, gdy wejdziemy na stronę internetową ministerstwa. Tam jest Sikorski we wszystkich smakach, a potem, gdzieś na spodzie, rubryczka pod nazwą „Aktualności z placówek dyplomatycznych".

Zajrzyjcie państwo do niej. Dowiedzcie się, czym żyją polskie ambasady… Oto pięć ostatnich aktualności. Najnowsza to ósma edycja Polskiego Festiwalu Filmowego w Cinematheque Seoul Art Cinema. Z września. A wcześniej: 17.07.2026, Seul, przegląd filmów Krzysztofa Kieślowskiego; 8.06.2026, Dagny Juel i Stanisław Przybyszewski – polsko-norweska opowieść o sztuce i inspiracji (to ambasada RP w Hadze). Jeszcze wcześniej, 5.06.2026, wystawa fotograficzna „Puste łóżka" w Senacie Meksyku. A piąta informacja to Wakacyjne spotkanie polonijne na Kolei Hidżaskiej – 5.06.2026, Amman.

Jak na prawie setkę ambasad w całym świecie, ruch na tej stronie niebywały. Hula ta nasza dyplomacja, że hej! Tak działa MSZ. Ku chwale ministra.

Attaché



50. rocznica śmierci Mao Zedonga uczczona w miejscu jego narodzin, w Shaoshan w prowincji Hunan w środkowych Chinach, 9 września 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 25e4991eaf







PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

„Alarm w polskim niebie i alert RCB dla dwóch województw! »Trwa zmasowany atak powietrzny«" – czytam w internecie. Czyżby się zaczęło? Przecież zachodnie wywiady od kilku tygodni ostrzegają przed rosyjskimi prowokacjami w Polsce lub krajach bałtyckich. Klikam. Aha. O to chodziło. Bo „zmasowany atak powietrzny" okazuje się rosyjskim atakiem na Ukrainę, a „alarm w polskim niebie" – działaniami naszego lotnictwa. Reszta to kilobajty słów, które miały nabić kabzę wydawcy „Super Expressu". Kiedyś taki clickbait może kosztować ludzkie życie. Bo gdy naprawdę pojawi się komunikat „Alarm w polskim niebie!", znużony czytelnik może już nie kliknąć. (…) Pora, by premier wyjaśnił dziennikarzom, że media są od informowania, a rząd o dbanie o niewywoływanie paniki.

ANNA BERNHARDT,
PREZESKA STOWARZYSZENIA INSTYTUT LITERACKI KULTURA

W jednym z wywiadów pod koniec życia Jerzy Giedroyc pytany o cel, który przyświecał założeniu Instytutu Literackiego, odpowiedział: „(…) naszym celem było pobudzanie do myślenia" i temu służyły publikacje, przede wszystkim miesięcznik „Kultura", kwartalnik „Zeszyty Historyczne", ale też książki. Pobudzanie do myślenia, do refleksji, do długoterminowych strategii nadal jest aktualne, wręcz konieczne, choć nie przystaje do dzisiaj dominujących w świecie polityki krótkoterminowych taktyk czy błyskawicznych i opiniotwórczych reakcji w mediach społecznościowych. (…) Redaktor często powtarzał, że Polska może i powinna odgrywać istotną rolę jako pomost między wschodnią i zachodnią częścią Europy, ale do tego trzeba wypracować przede wszystkim politykę wschodnią, dobrze przemyślaną i konsekwentnie prowadzoną.

EWA PUSZCZYŃSKA,
OSCAROWA PRODUCENTKA

Wydaje mi się, że Paweł Pawlikowski lubi ze mną pracować, bo rozumiem istotę jego procesu twórczego. Jego scenariusze są krótkie, z reguły mają jakieś 60 stron i są tylko punktem wyjścia do dalszych działań. Tam nie ma zamkniętych pomysłów. Wszystko jest płynne i może ulec zmianie na każdym etapie. Często dopiero podczas zdjęć rodzą się nowe, finalne pomysły, co wymaga szybkich adaptacji i elastyczności ekipy. A ekipę mieliśmy wspaniałą, tę samą co przy „Idzie" i „Zimnej wojnie". Bez dobrego, oddanego filmowi zespołu producent niewiele by zdziałał.

PIOTR MAZIK,
PREZES STOWARZYSZENIA PRZEWODNIKÓW TATRZAŃSKICH

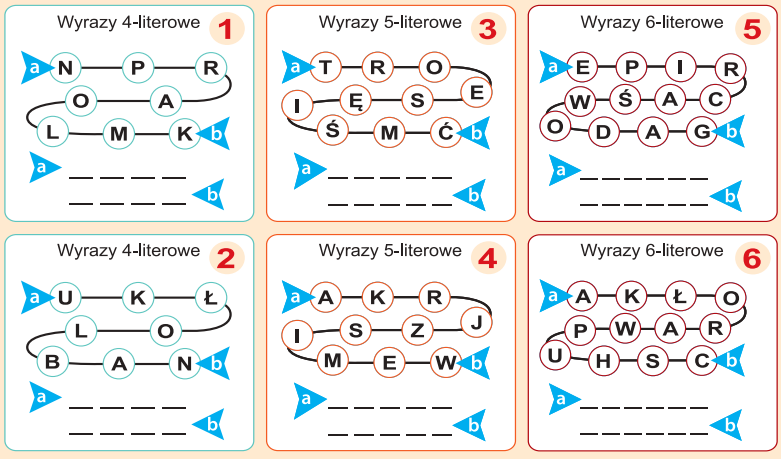
Informacja internetowa jest skrótowa i niepełna. Ta w mediach społecznościowych najczęściej okazuje się nadmiernie optymistyczna, więc niewiarygodna. Górska wiedza na najwyższym poziomie nadal dostępna jest w literaturze, a nie w internecie. Znajdziemy ją w szczegółowych przewodnikach – np. autorstwa Władysława Cywińskiego – na kursach Polskiego Związku Alpinizmu czy na kursach przewodnickich. Bardzo przestrzegam przed skrótowym zdobywaniem informacji na temat gór, szczególnie wysokich.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 25e4991eaf

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: PROM, KLAN, ULAN, BLOK, TREŚĆ, MIĘSO, KRZEW, MISJA, PRAWDA, GOŚCIE, KORPUS, CHWAŁA



Aby język giętki…

PROF. DAMIAN DOLIŃSKI
O OCZEKIWANIACH

Chcemy być rozumiani i wysłuchani, a nie rozumieć i wysłuchiwać innych.

MAREK BOROWSKI
O KAROLU NAWROCKIM

Kolejne weta w sprawie kryptowalut pokazują, że prezydent był pod jakimś naciskiem. Pojawia się pytanie, czy sam to wymyślił.

MICHAŁ RUSINEK
O PRZEMIANIE MATEUSZA MORAWIECKIEGO

Była ona bardzo radykalna. Przemieniony Morawiecki ostro sprzeciwia się nieprzemienionemu Morawieckiemu.

OLGIERD ŁUKASZEWICZ
O MIESIĘCZNICACH SMOLEŃSKICH

Dziwię się ludziom, którzy tam się gromadzą w imię mgły, niewiedzy i nieprzepracowanych emocji.

WALDEMAR ŻUREK O PROKURATURZE

Nadal jest obsadzona w części ludźmi ministra Ziobry, którzy mieli interes w tym, żeby śledztwa były umarzane.

SŁAWOMIR BRONIARZ
O EDUKACJI SEKSUALNEJ

Dla większości rodziców to był, jest i pewno będzie duży problem.

JANUSZ PŁOŃSKI O TYGODNIKU „ITD"

Bardzo ważne miejsce dla wielu młodych dziennikarzy. Dawał sporą swobodę. Mogliśmy pozwolić sobie na więcej, niż mogłoby się dziś wydawać.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 25e4991eaf

Summer Show



Beata Ewa Białecka, Konterfekt Klara



Rafał Eret, Wir

„Summer Show" to prezentacja artystów i artystek, z którymi galeria stale współpracuje. W wystawie uczestniczą: Stanisław Baj, Beata Ewa Białecka, Michał Cygan, Dawid Czycz, Rafał Eret, Ryszard Grzyb, Maria Kiesner, Małgorzata Kosiec, Jarosław Modzelewski, Zdzisław Nitka i Artur Przebindowski. Zestawienie ich prac, o odmiennych tematach i charakterze, tworzy swobodny, energetyczny dialog, w którym poszczególne dzieła zyskują nowe konteksty i znaczenia. To zachęca do nieskrępowanego odbioru sztuki i odkrywania jej kolejnych możliwych odczytań.

Galeria Arttrakt
Wrocław, ul. Ofiar Oświęcimskich 1/1
do 30 września



Zdzisław Nitka, Sen Jakuba



Ryszard Grzyb, Uważność milczenia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 25e4991eaf

M{i}aSTO/a
GwiAzd
czyli
InterdySCYPlinarny
FESTiwal
SzTUk



EDUKACYJNY
FESTIWAL
SZTUKI
artnoble.pl

2026
ŻYRARDÓW
24-26
września

2026
RADOM
11 września

Knock, knock, it's art!

18
EDYCJA

SZTUK PUK

Partner artNoble

za KS
sprzyjamy wyobraźni

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej
ELEKTROWNIA

Przegląd

Partner artNoble

Fundacja PPL

Stowarzyszenie Filmowców Polskich

artHOLDING
Fundacja Kultury i Sztuki

PATRONAT HONORowy:

Marszałek
Województwa Mazowieckiego

TVP KULTURA

Mazowsze.
serce Polski

Partnerem wydarzenia jest
Samorząd Województwa Mazowieckiego

ŻYRARDÓW
www.zyrardow.pl

Projekt współfinansowany
ze środków budżetu Miasta Żyrardowa

POWIAT
ŻYRARDOWSKI

POLSKIE RADIO RDC

WDK GROUP

Geotermia Mazowiecka S.A.

eprasa.pl 25e4991eaf

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY SALONIKI

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY SÃO PAULO

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY TOKIO

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY RZYM

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY PALM SPRINGS

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY SAN SEBASTIÁN

OFFICIAL SELECTION 2025
tiff 50 Platform
TORONTO INTERNATIONAL FILM FESTIVAL
(WYRÓŻNIENIE SPECJALNE)

KURA

REŻYSERIA **GYÖRGY PÁLFI**
(„SWOBODNE OPADANIE", „PANIE, PANOWIE – OSTATNIE CIĘCIE")

Z TĄ KURĄ LEPIEJ NIE ZADZIERAĆ



W KINACH OD 18 WRZEŚNIA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 25e4091eaf